Nr. 39 Warszawa, dnia 12 (24) Września 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 30.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szanownym Abonentom przypominamy nadchodzący termin kwartalnej przedpłaty.

POLITYKA.

GOTOWOŚĆ BOJOWA.

Historya powie kiedyś, że jeśli cesarz Wilhelm nie był największym, był niezawodnie najruchliwszym ze współczesnych monarchów Europy. Chwili jednej człowiek ten spokojnie nie usiedzi, kręcić się, wiercić ciągle potrzebuje. Nie napróżno nazwano go „der Reisekaiser“: lubi często zmieniać miejsce w przestrzeni; lubi je zmieniać i w myśli. Siedząc we wnętrzu swojem, trzyma lufcik ciągle otwarty, aby go na ulicy nawet słyszano, jak w ciągłych podrywach, podskokach i hołubcach działalność swoją umysłową za progiem duszy swej roztacza. Nieraz pytać się trzeba: kiedy ten człowiek ma czas na myślenie, gdy go tyle zużywa na mówienie? Gdyby już nie absolutna niemożność, jednego dnia nie przeżyłby bez jakiejś mowy, jakiegoś wielkiego słowa, zapowiedzi, hasła, bez objawu, który ma niby coś pokazać, a najczęściej pokazuje tylko, na żywym przykładzie, jedną z wielkich prawd obyczajowych Starożytności, tak szacowną, tak potrzebną wszystkim opanowanym przez demona krasomówczych improwizacyj.

Nie obyły się bez mowy i bez demonstracyi manewra hanowersko-westfalskie. Zwycięztwo pod Omdurmanem pobudziło d. 4 b. m. w Hanowerze cesarza, od lat kilku boczącego się na Anglię, do publicznego powinszowania. W kilka dni później, już po zupełnem ukończeniu manewrów w Westfalii, cesarz obrał sobie malowniczą miejscowość nad Wezerą, o pięknie brzmiącej nazwie „Porta Westphalica,“ pod samem Minden, i tam kazał urządzić obiad, wyprawiony mu na pożegnanie przez prowincyę. Na obiedzie marszałek krajowy dziękował za opiekę, uznając zasługi rządu w pomyślności kraju, zwłaszcza pod względem rolniczym. Cesarz podziękował za uznanie i przyrzekł lepszą jeszcze przyszłość nietylko dla rolnictwa, ale dla wszystkich zakresów życia ekonomicznego „ojczyzny“: on im zapewni i rozwój i w rozwoju wielkość. Oczywiście, potrzebny jest do tego niezamącony spokój, a niema właśnie lepszego sposobu zapewnienia sobie pokoju nad utrzymywanie ochoczego do walki, gotowego do boju (*schlagfertiges und kampfbereites*) wojska niemieckiego. W niektórych jego częściach to wojsko z radością podziwiać Wilhelm II miał świeżo sposobność. „Oby Bóg pozwolił zawsze z tym niestępionym, dobrze dochowanym orężem czuwać nad pokojem świata. Wtedy i chłop westfalski mógłby kłaść się spokojnie do snu“— zakończył dosłownie.

Kiedy wezwanie do położenia tamy dalszym uzbrojeniom rozbrzmiewa jeszcze w powietrzu Europy, kiedy myśl urzędownie czeka na wcielenie, jeśli nie w ostateczny rezultat, to w jakieś dla niego podjęte roboty — cesarz Wilhelm oznajmia, że najlepszym środkiem na pokój jest gotowe do boju, napełniające radością wojsko niemieckie. Widocznie chodziło mówcy o to, aby przed zebraniem się jeszcze konferencyi, przed wykluciem się ich nawet, powiedzieć, że z nich nic nie będzie. Takie wrażenie musiała sprawić na każdym mowa w owej pięknie brzmiącej „Porta Westphalica“ wypowiedziana. Takie też sprawiła i w Petersburgu, skąd właśnie rozpoczęto narady nad powściągnięciem dobrodziejstw zbrojnego pokoju. *Nowoje Wremia* zrozumiało nawet mowę tak, że cesarz niemiecki nie widzi innego sposobu utrzymania pokoju w świecie, jak tylko za pomocą armii, i nie uważa rozzbrojenia, roztrząsanego obecnie przez publicystykę europejską, za wykonalne. Organ petersburski dodaje przytem od siebie uwagę, dotyczącą tego rozzbrojenia. Oto w okólniku z d. 24 sierpnia niema ani jednego słowa o tak radykalnem zerwaniu ze zbrojnym pokojem; okólnik mówi tylko o zmniejszeniu ciężarów: i to ma być zadaniem konferencyj — „jeżeli one dojdą do skutku.“ Utrzymanie obecnego *status quo* przy wyrzeczeniu się dalszych nakładów na coraz nowy, jakościowy i ilościowy wzrost — to cel, to przedmiot przyszłych narad.

Wilhelm II pozostawił wiernym Westfalczykom inny jeszcze dowód retoryczny swej troskliwości. Gdy umyślna deputacya przemysłowców westfalskich poprosiła go o przedsięwzięcie środków ukrócających „dążności, które prowadzą do anarchii,“ Cesarz niemiecki publicznie zagroził karą ciężkiego więzienia tym, którzyby robotników zachęcali do bezrobocia. Niezawodnie jest to zapowiedź nowych praw, nowych przynajmniej projektów. W całych Niemcach sprawiła ona wielkie wrażenie; ale niewiele dzienników wierzy w jej skuteczność. *National Ztg.* której o nielojalność polityczną i społeczną nikt nie posądzi, wręcz powątpiewa o tem, czy dla nowego prawa znajdzie się choćby tylko mniejszość pokaźna. Poważny ten organ uważa zapowiedź za błąd i nie bez zasady twierdzi, że demokraci socyalni, przeciw którym była wymierzoną, w niej właśnie dostali do rąk oręż agitacyjny, którym władać już potrafią jak najlepiej dla siebie. Takie przyjęcie, w pierwszej chwili dość powszechne, nie przeszkadza wszakże opracowania i wniesienia zapowiedzianego projektu. Cesarz Wilhelm, pobudzony mordem w Genewie, znajduje

się w fazie napięcia przeciwko socyalizmowi. Zamierza nawet podjąć na radzie Europy sprawę ukrócenia anarchizmu. Sejm niemiecki może jeszcze tej jesieni otrzymać zapowiedzianą nowelę. Cesarz gotowym jest do walki nietylko z zewnętrznym, ale i z wewnętrznym wrogiem ojczyzny.

Tydzień polityczny. Nareszcie rząd francuski odważył się na rewizyę procesu Dreyfusa. Skrupuły p. Faure'a nie przeszkodziły mu pozostać; generał Zurlinden wystąpił z gabinetu; za przykładem jego poszedł i minister robót publ., Tillaye. Na miejsce pierwszego wszedł gen. Chanoine, drugiego — p. Godin. Były minister wraca na posadę gubernatora Paryża. Rewizyę poprzedzi opinia komisyi mieszanej administracyjno-sądowej, a potem orzeczenie zasadnicze sądu kasacyjnego. Do rewizyi może jeszcze nie przyjdzie; ale droga do niej stała już dawno otworem; niewejście na nią było ciężkim błędem, którego tylko zaślepiony antisemityzm widzieć nie może. Całego roku niepokoju oszczędzonoby tej ojczyznie, którą ks. Filip Orleański, pretendent do tronu, tak gorąco kocha, że nie waha się w umyślnym manifeście wezwać Francuzów do rzucenia się na ministrów uchwalających rewizyę. Esterhazy po Londynie obnosił swe tajemnice na sprzedaż, od 5,000 f. st. zaczął, na 500 spuścił, nie udało mu się skończyć nawet na sixpence'ie. Po wypędzeniu go z armii, nie przez Zolę przecież, ale samą władzę wojskową, odpierającą ohydne napaści Dreyfusistów, jakżeż wyglądać musi honor gen Pellieux, który prowadził śledztwo przeciwko łotrowi, honor gen. Luxera i innych, którzy sąd nad nim zakończyli, już nietylko wyrokiem uniewinniającym, ale manifestacyjnem ściskaniem mu zacnej prawicy? Czy wszyscy ci panowie, jeżeli są uczciwymi, sami nie wystrychnęli się na dudków? Czuje to Pellieux i ucieka z Paryża na prowincyę, z życia czynnego do rezerwowego. Głównie winnym pogwałcenia form w procesie Dreyfusa jest gen. Mercier, w końcu r. 1894 minister wojny.

Na propozycyę konferencyi wskutek okólnika hr. Murawiewa odpowiedziały Hiszpania, Belgia, Holandya, Szwecya, Dania, Japonia — przychylnie; Włochy tylko zasadniczo. Zasadniczość znalazłaby się wszędzie; idzie tylko o konkretność, o *tak* stanowcze, rodzące już fakt przystąpienia. Tak zwane potrójne przymierze jeszcze się namyśla; co myśli casarz Wilhelm, to powiedział w Porta Westphalica. Anglicy wręcz mówią, że nie mogą nie powiększać swej floty. Francuzi chcą pierwej pewności co do Alzacyi. Dla Niemiec znowu punktem kardynalnym musi być uznanie z góry dzisiejszego *status quo*.

Cesarzową austryacką pochowano d. 17 b. m. w grobach habsburskich w Wiedniu. Ces. Wilhelm był na pogrzebie. W Szwajcaryi zachodniej aresztowano przeszło 20 anarchistów. Były aresztowania w Brukseli, Barcelonie, Peszcie, w związku z mordem. Ces. Wilhelm po drodze do Jerozolimy widzieć się ma w Wenecyi z królem włoskim.

Na Krecie spokojniej. Admirał Noel bierze teraz odwet z Turków; wyłapuje i dopomina się winnych, i myśli o strasznym jakimś wyroku. Kandya cała w rękach angielskich. Wojsko tureckie w koszarach, baszybozucy wywiezieni; gromadki muzułmanów drżą. Rozwiązanie sprawy kreteńskiej dalekie. Dyplomacya umyślnie go nie chce, aby przyspieszyć zawalenie się całego budynku potęgi tureckiej.

Kortezy madryckie przyjęły protokół pokoju tymczasowego ze Stanami Zjednoczonymi — bez zmian, bo wymówił to sobie zwycięzca.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DROŻYZNA.

Pamiętny będzie dla wielotysięcznych mas ludności schyłek dziesiciolecia bieżącego. Zaznaczył się on bowiem powszechnem utrudnieniem warunków bytu. Z jednej strony rozwój ekonomiczny i społeczny wytworzył nadzwyczaj powikłaną sieć spekulacyi i przedsiębiorstwa, z drugiej wywołał nadmierny napływ ludności do wszystkich ognisk wytwórczych i handlowych. Rozrost spożycia i różne „konjunktury“ wywołały niesłychaną i niebywałą dotąd nigdy drożyznę wszelkich najniezbędniejszych środków istnienia. Gorączka pracy, wytwórczości, wymiany wzrasta i rozwija się coraz bardziej, z drugiej zaś strony warunki wynagrodzenia pracy zarobkowej pozostają niezmienne od lat wielu. Drożyzna weszła do nas i rozparła się wszędzie, nie uwzględniając zasadniczych potrzeb bytu, a więc pomyślnego rozwoju materyalnego i duchowego mas całych — zaczynając od codziennych artykułów spożywczych aż do mieszkań i środków kształcenia. Przed laty dwudziestu lada nędzarz mógł kształcić swoje dzieci, bo taniość mieszkań i artykułów żywności pozwalały mu posyłać dzieci do ognisk oświaty, a niewysoki wpis uprzystępniał szkoły. Dopóki prawo uczęszczania do gimnazyów kosztowało kilkanaście rubli, a do uniwersytetu 50, dopóki warunek kształcenia się w tych zakładach nie był ściśle związany z terminem opłaty wpisowego, póty młodzież uboga mogła bez wysiłku zdobywać wiedzę i następnie torować sobie drogę w życiu. Ale gdy opłata w szkołach wzrosła trzy, a nawet czterokrotnie, w uniwersytecie zaś podwoiła się, gdy najskromniejsze utrzymanie wraz z mieszkaniem człowieka pojedynczego, oderwanego od rodziny, kosztuje rb. 40 miesięcznie, nauka dla ludzi ubogich, oddalonych od głównych ognisk, stała się niemożliwą. Dla rodzin zaś, mieszkających stale w owych środowiskach, wychowanie dzieci również jest do zadaniem nad siły.

W tych falach, które ogarnęły wszystko, co się znajduje na powierzchni i w głębi życia całych mas, sterczą niezachwiane i niezmienne słupy — warunki pracy, z tą samą podziałką, co przed laty kilkudziesięciu. Weźmy np. pracownika wyższej kategoryi, który pobiera pensyi miesięcznej 100 rb Jeżeli np. ma troje dzieci w wieku szkolnym, wychowanie ich wyniesie, najmniej licząc, 300 rb. rocznie. Najskromniejsze utrzymanie całej rodziny 720 rb., mieszkanie liche, w odległej dzielnicy miasta 360 rb., razem 1,380 rb.,

---

Janina Baudouin de Courtenay.

ISMAEL

(Kontur psychologiczny).

IX.

Uzbrojony od stóp do głowy, jak Don Kiszot, poganiając ile mocy nieszczęsną Rosynantę, wpadłem w zamęty antysemicko-parlamentarne i prasowe środkowej Europy, przykuty przez tę burzę do jednego z większych jej centrów. Zatrzymała mię w drodze do spokojnego miasta, w którem szukać chciałem nauki i wypoczynku. Pociągnięto mię do współpracownictwa w nowym dzienniku, który usiłował płynąć sam jeden przeciwko fali antysemickiej. Walczyłem więc jak mogłem—słowem i piórem, z ogniem entyzyastycznego nowicyusza w sprawach publicznych tak wyjątkowo mi blizkich, lecz i sam paliłem nieustannie w ogniu tym serce moje, i krew, i nerwy. Rozkosze to dzieliłem ze szczupłą garścią podobnych mi Żydów... asymilowanych?... czy postępowych?... czy odstępców? Nie wiem doprawdy, jak mam ich nazwać właściwie. Dzieliłem je także z garstką chrześcian, pragnących głośno wyrazić swój wstręt do szalejącego żywiołu nienawiści plemiennej, w swym pochodzie zwycięzkim rzucającego nasiona zbrodni w ciemne masy ludowe. Starałem się wprawdzie trzymać oczy otwarte na nasze grzechy rzeczywiste, tak świetnie kultywowane przez — „mistrzynię życia“ — historyę, ale wiłem się w beznadziejnej rozpaczy i gniewie, przekonywając się na każdym kroku, jak dopatrywano się grzechów tych i ich następstw tam nawet, gdzie ich wcale nie było. Musi pan dobrze wiedzieć jak pełnem, to jest jak męczeńskiem życiem żyją ci, do których wówczas należałem... Była jednakże pomiędzy mną i mymi nielicznymi towarzyszami pewna różnica na mą niekorzyść. Jedni z nich przywykli odrębne to i wyjątkowe życie brać tak, jak ono jest — jak zwykli ludzie — nie Żydzi biorą swe zwykłe ludzkie życie z koniecznymi jego ciężarami. Przyzwyczaili się do niego i oswoili tak, jak naprzykład kamczadali oswoili się ze swą jurtą cuchnącą, jak koń z nieodłącznym od siebie ciężarem i biczem... Ja zaś z pałacu życia wstąpiłem do jego podziemia, pełnego nieznanych zasadzek, pełnego trujących krew moją wyziewów. Cierpieli wprawdzie i oni także, gdy ich palono co chwila w tem ulepszonem, cywilizowanym auto-da-fe, lecz żaden z nich nie męczył się w tym stopniu, jak ja się męczyłem. Nie mogłem też z żadnym z nich związać się przyjaźnią osobistą. Odcienie zapatrywań naszych były tak odrębne. Życie moje dawniejsze zostawiło głębokie ślady, — ich życie rzeźbiło ich po swojemu. Jedni z nich pragnęli wpleść się nieznacznem pasmem w odpychające ich społeczeństwa i rozpłynąć się wraz z tem przekleństwem, które na nich ciężyło. Inni pragnęli wzrastać po cichu w sile materyalnej — pieniężnej — skupiać wrodzone zdolności przeważnie w tym kierunku — i siłą tą dźwigać i siebie, i pozostałych nędzarzy. Trzeci, najmniej liczni, marzyli o własnej dalekiej ojczyznie bez złych, wzgardliwych sąsiadów... marzyli, wiedząc aż nadto dobrze, iż marzą beznadziejnie. Z tymi ostatnimi idealistami zbliżyłem się łatwiej nieco, chociaż luźne te więzy niewiele przynosiły mi ulgi. Było nas za mało, dążenia nasze były zbyt trudne do spełnienia, abyśmy mogli coś zdziałać, a z drugiej strony było nas dość na to, aby się wzajemnie podbudzać i denerwować. Zarażaliśmy się jeden od drugiego — i z iskry tworzył się wulkan cierpienia, z kropli — morze goryczy.

Pismo nasze jak nagle powstało, tak też i runęło niespodzianie z braku środków. Bogaci, ostrożni i praktyczni ludzie—nic przecież wiedzieć o nas nie chcieli. Zresztą chodziło nam o to, żeby istniało ono i rozwijało się o własnych siłach bez jałmużny i zapomóg jakiegoś kapitalisty, ale... po pewnym czasie musieliśmy się rozpierzchnąć.

Złamany fizycznie i moralnie z chorą, ubezwładnioną wolą, rzuciłem się do ostatniego przybytku mej nadziei — do pracy naukowej. Niestety, w małem, obcem, ubogiem mieście uniwersyteckiem—ja, Żyd, usiłujący się utrzymać z własnego tylko zarobku i żyjący samotnie, począłem ginąć z głodu. Umysł mój rozgo-

czyli o 186 więcej, niż na to środki pozwalają. Dodajmy do tego jeszcze ubranie, choroby i wszelkie inne wydatki nieprzewidziane, a będziemy mieli niedoboru minimum 300 rb. rocznie w budżecie rodziny bardzo oszczędnej. Oczywiście niedobór ten muszą pokryć pożyczki, najczęściej lichwiarskie. Całe szczęście, jeśli dzieci są zdolne i pilne. Wtedy nietylko mogą się obywać bez korepetytora, lecz same zaczynają zarobkować od klas najniższych i nic rodziców nie kosztują. Jakże sobie radzą ci pracownicy familijni, którzy pobierają pensyi 800, 700 lub 600 rubli? Oczywiście szkoła dla ich dzieci jest już zupełnie wykluczona, jeżeli nie przyjdzie z pomocą jaki krewniak lub filantrop, albo jeżeli dziatwa zdolna i pilna nie będzie pracowała nad siły, ucząc się i zarobkując zarazem. Rezultaty takiego przepracowania odbijają się potem bardzo smutnie na losach i zdrowiu młodzieży, wpływając tem samem zgubnie na warunki rozwoju społecznego.

Na tem, co jest obecnie, jeszcze się nie kończy. Drożyzna powszechna, sztucznie i forsownie przez spekulacyę podtrzymywana, rośnie coraz bardziej i niema nadziei, ażeby ten wzrost prędko osłabł choć trochę. Jednocześnie w sferach zarobkodawczych daje się spostrzegać coraz wyraźniej dążność do zniżenia płac. Jeżeli tak pójdzie dalej, jeżeli nie przyjdą z pomocą środki przeciwdziałające, może w końcu nastąpić jakiś kataklizm ekonomiczny, który na długo pozostawi ślady wstrząśnienia gwałtownego. Zajrzawszy głębiej do tych zjawisk znamiennych, spostrzegamy z jednej strony bierność i obojętność mas na wyzysk spekulacyi, niezaradność i niedbalstwo, z drugiej spekulacyę wszechpotężną, wszechwładną i wieloramienną, która opasała silnym uściskiem owe masy bierne i nie chce ich wypuścić. Stały się one wybornym gruntem do hodowli bakteryj wyzysku.

Otóż chcąc chociaż w części złagodzić złe, chcąc zapobiedz powszechnej katastrofie ekonomicznej i społecznej, należałoby rozwinąć przeciwdziałanie na całej linii, obronę ogółu przed tym wrogiem, wybornie i świadomie zorganizowanym.

Naprzód widzimy dobrze uzbrojony i idący zwartym szeregiem przeciwko masom bezbronnym hufiec właścicieli domów w większych zbiorowiskach życia. Komorne dziś już urosło do takich rozmiarów, że pochłania większą część pensyi pracowników różnych instytucyj, a jeszcze nie widzimy granic tego wzrostu. Chciwość właścicieli doszła poprostu do szału. Wszelkie ciężary osobiste, wszelkie podwyżki podatkowe i inne płacą lókatorowie, a wyrównawszy taką choćby nawet jednorazową pozycyę w wydatkach gospodarza, płacą w tym stosunku ciągle podwyżkę komornego. Tutaj już niema innego ratunku, jak tylko postarać się o to, ażeby prawodawstwo położyło swoje veto i uregulowało odpowiednio skalę opłat za mieszkania. Jeżeli takiego hamulca nie będzie, orgia podwyżki dojdzie do jawnego łupiestwa, które przecież jest karane przez prawo.

Następnie widzimy zagrożenie mas ludności ze strony spekulantów, dostarczających środki żywności. Handlarze bydła stanowią dobrze zorganizowaną i silną spółkę, która jest właściwie bandą zbójecką, teroryzującą spożywców oraz innych handlarzów, usiłujących działać po za obrębem ich stowarzyszenia. Jeżeli przejrzymy inne działy rynku naszego, wszędzie znajdziemy to samo. Wszędzie porozstawiane rozjazdy, forpoczty, wszędzie oddziały, hufce, straże, zasadzki wielkiej armii spekulantów, która w swych rękach trzyma miliony ludności. Całe masy społeczeństwa milczą i kornie poddają głowy. Ziemianie nasi kilka razy usiłowali wypowiedzieć im walkę. Obmyślano już cały plan kampanii, odczytano go na posiedzeniach sekcyi rolnej i zyskano ogólne uznanie. Przedewszystkiem hodowcy bydła chcieli stawić czoło handlarzom spekulantom, postanowili zawiązać spółkę hodowli i sprzedaży bydła rzeźnego, wskazali główne rynki zbytu i powołali ogół rolników do udziału w tem przedsięwzięciu. Okazało się jednak, że najpierw trzeba się *nauczyć* hodować bydło, że nie mamy w tej mierze żadnych wskazówek teoretycznych i praktycznych, że następnie trzeba na to dużych kapitałów, energii, wytrwałości i solidarności. Ponieważ na to wszystko nie mogliśmy się zdobyć, więc projekt schowano do archiwum sekcyi.

Obecnie *Dziennik łódzki*, pod wpływem wyzysku spekulacyi, panującej na rynkach w Łodzi, podał wniosek następujący: „Jedynym środkiem ratunku ma być stworzenie towarzystwa akcyjnego lub wielkiej spółki komandytowej, złożonej z kapitalistów miejscowych i z właścicieli ziemskich z bliższych i dalszych okolic naszego kraju. Towarzystwo takie, wybudowawszy w kilku punktach miasta rynki lub założywszy choćby wielkie sklepy, zaopatrzone w lodownie i suche przewiewne strychy, musiałoby utrzymywać na prowincyi cały sztab agentów lub agentek, obowiązanych zakupywać i wysyłać do Łodzi produkty, które w danej okolicy mogą być najtańsze i najlepsze. Obywatele ziemscy, zwłaszcza posiadający ogrody większe, którzy wiedzą na podstawie doświadczeń dawniejszych, jaką ilość warzyw, ogrodowizn i owoców sprzedać mogą, powinni być zobowiązani kontraktowo do akuratnego dostarczania zadeklarowanych ilości i gatunków produktów. Przy-

---

rączkowany i znużony mało się mógł naginać w tej porze straszliwego wyczerpania do studyów poważnych i systematycznych pod twym kierunkiem, panie. Wpływu orzeźwiającego, ochładzającego żal serca i mózgu — nie mogłeś wówczas wywrzeć na mnie, bo przyszedłem do ciebie w złej chwili, straciwszy nadzieję i wiarę. Wówczas jeszcze nie umiałem się pocieszać nie tyle przekonywającem, ile poetycznem proroctwem mego biblijnego króla:

„Sprawiedliwy — jako palma zakwitnie, jako cedr na Libanie rozmnoży się."

My! mogliśmy bywać kiedyś królami?! My!...

X.

Słaby charakter mój nie wytrwał. Podwójna choroba duszy i ciała wciąż rosła. Uczułem się wreszcie nędznym, zmiażdżonym robakiem, którego życie na nic nikomu już zdać się nie mogło, a tem bardziej... śmierć jego i męczarnia. I teraz właśnie, czyż to nie dziwne — duma moja egoistyczna, wiecznie deptana duma moja, unosić głowę poczęła, buntować się i sarkać. Litość nad sobą, nad człowiekiem marniejącym beznadziejnie, wdarłszy się do duszy w chwili słabości, zagarnęła ją całą w upragnioną i słodką niewolę. Wyznaję, bijąc się w piersi, żem wyciągał z rozkoszą ręce po te złote kajdany.

Otrząsnąć kurz ze stóp swoich i odejść. Hal uciec... uciec, jak „Żyd prawdziwy," jak tchórz nikczemny! — mówiłem sobie czasem... a może, może tylko jak człowiek, który zapłacił już życiu zbyt krwawą daniną za rozstę życia bez męczarni. Matka mówiła mi niegdyś, żo mam naturę Don Kiszota raczej, niż Hamleta. Czyliż mam dalej jak rycerz z La Manchy tłuc biedną głową o mury, mury nieprzebite, gdy wieki jeszcze całe muszą przeminąć, zanim oba te mury, pośród których stanąłem, skruszeją i światło wielkie przez swoje luki wpuszczą!?.. Dziś biedny, słaby, pragnę tylko ukojenia, spoczynku i ożywczego balsamu na rozpaloną duszę, jak ongi Ismaël pragnął potoków wody na rozpalone usta i ciało...

Uciec tam, kędy wszystko jest ciszą, spokojem i naturą — chociażby była to martwa cisza, martwy już spokój, natura pustyń i kamieni...

A jest kraj taki na świecie... Cichy i martwy. Olbrzymi rozpadający się pomnik największego życia na ziemi. Kraj niegdyś obiecany ludzkości, ukochanie, ojczyzna ludu wybranego, rozściełająca złote swe pola pod stopy cedrów niebotycznych, ciesząca oczy Jehowy dwoma jeziorami-morzami, tkwiącemi w niej jak dwa ogromne turkusy.

I tu w blaskach i żarach słońca, w chłodzie gór, w zielonych aksamitach dolin, w niezłomnych murach twierdz, w dymach kadzideł złotych świątyń—panował jedyny wywyższony po nad wszystkie majestaty król-naród, dziś wzgardzony, oplwany, zdeptany naród-wyrodek! Uprawiał tę ziemię silną a pracowitą ręką, wieńczył ją w kędzierzawo girlandy winnic, ożywiał życiem niezliczonych stad — i upraszał dla niej wyłączne tajemnicze łaski od swego tajemniczego Boga. Po stopniach wieków stacza się lud wybrany coraz niżej, lecz tak mocno zadzierzgnęły się ogniwa pomiędzy nim a Jehową, że nie zdołały rozerwać ich i te najsłodsze, a zarazem najsilniejsze ramiona, które świat cały przytuliły do piersi Zbawcy i Odrodziciela.

On się nie wzdrygał wcielić w lud ten a ziemię tę nazwać ojczyzną swoją.

I oto wzrokiem rozpalonym niewinną męką moją wskroś niezmierzone przestrzenie i czasy doszedłem prosto do bliskości jego — i ujrzałom światło, gotowe rozświecić mroki moje, cień gotowy objąć płonącą głowę moją, murawę zieloną dla zdartych, osłabłych stóp moich.. Raj mój bezchmurny, bezcierniowy. Dawca żywota, anioł wielkiej rady wołał znowu ku sobie potomka galilean...

Cicho tam. Teraźniejszość drzemie i śni o cudach przeszłości. Niema tam dzisiaj prześladujących i prześladowanych, gardzących i wzgardzonych — jest to martwa dolina Józefata, na której zejdą się kiedyś oni wszyscy — wrogowie i sojusznicy wszechwieków i wszechświatów...

Prastara, jedyna ojczyzna Żyda — i tu jedynie tylko nie jest Żyd na wygnaniu. Podnosi śmiało czoło, oddycha szerokiem powietrzem własnego kraju... Tu tylko dotąd niczyich oczu nie razi, z biblijną dotąd twarzą, w biblijnej dotąd szacie — w biblijnym tym, cichym kraju. Jest nawet główną postacią na wielkim tym starożytnym obrazie.

tem powinni zwracać uwagę na staranność opakowania lub układania w pociągach prowizyi, gdyż towar zbity, nadgniły lub uszkodzony z winy wysyłającego, byłby odrzucany przez towarzystwo. „Dostarczone w ten sposób miastu produkty tanie i dobre, utrzymane w miejscach czystych, dezinfekowanych i w odpowiedniej temperaturze, cieszyłyby się niewątpliwie ogólną wziętością i gdyby nawet handlarze dotychczasowi w celach konkurencyjnych zniżyli ceny swych towarów, to i tak wyższość starannego i czystego przechowywania produktów przechyli zawsze szalę na stronę towarzystwa."

Wszystko to bardzo piękne, szkoda tylko, że społeczeństwo nasze mało jest przygotowane do tego rodzaju działalności. Tworzyły się u nas już nieraz spółki różne; ale gdy dopisała solidarność członków, to znowu zawiodła słowność dostawców, którzy nie mogli dostarczyć na czas „zadeklarowanych ilości i gatunków." Nie chcemy wszakże przez to powiedzieć, że zabiegi w tej mierze zawsze będą jałowe i nigdy do celu pożądanego nie doprowadzą. Owszem — nie należy się zrażać niepowodzeniami. Trzeba tylko ciągle starać się o wytwarzanie w społeczeństwie cnót działalności zrzeszonej; trzeba we wszelkich przedsięwzięciach tego rodzaju trafnie wybierać ludzi energicznych i dzielnych, którzy mogliby za sobą pociągnąć innych. Jedno a nawet kilka niepowodzeń nie powinno upoważniać do złożenia rąk. Nauczmy się najpierw wyszukiwać i wybierać ludzi, a potem — organizujmy pracę zbiorową, która umiejętnie w całym kraju rozwinięta, nietylko mogłaby wypowiedzieć skuteczną walkę spekulacyi, lecz zarazem otworzyć nowe pola i źródła pracy niezależnej dla tych licznych rzesz, które albo jej nie mają, albo też cisną się na nędzne posady, dające liche pensyo i poniewierkę. Stłumienie spekulacyi i bezpośrednie zaopatrywanie wielkich rynków w najniezbędniejsze produkty do użytku codziennego byłoby jednym z najskuteczniejszych środków pokonania powszechnej i sztucznie wyśrubowanej drożyzny. Po za tem drożyznę ową należy rozpatrywać jako wynik rozwoju kulturalnego i ekonomicznego i jako zjawisko w pewnej mierze względne. Dałaby się ona mniej odczuwać, gdyby były lepsze ogólnie warunki pracy i zarobków.

KOLONIE LETNIE.

Komitet Towarzystwa kolonij letnich dla biednych i słabych dzieci warszawskich, wydał obecnie sprawozdanie za rok ubiegły, który był jednocześnie 16-ym istnienia tej ważnej i sympatycznej instytucyi. Rok ten w jej dziejach zaznaczył się poważnym faktem zamiany koczowniczego bytu na stały; wskutek starań grona założycieli minister spraw wewnętrznych w marcu 1897 roku zatwierdził ustawę „Towarzystwa" kolonij letnich. Przez piętnaście lat z rzędu corocznie rodziły się one na wiosnę, a z pierwszym szronem jesiennym kładły się do snu. Corocznie trzeba było wyjednywać osobne zezwolenia władz na prawo zbierania składek, wysyłania dzieci itd. Łatwo sobie wyobrazić, z jakiemi trudnościami połączone były takie starania. Zwiększał je ciężar innej natury. Mianowicie „kółko" filantropów (tak administracyjnie nazywano Towarzystwo kolonij) nie posiada cech osoby prawnej, a więc i prawa przyjmowania zapisów itd. Te wszystkie przeszkody raz na zawsze giną z chwilą przemiany „kółka" na „Towarzystwo." Spoczywa ono na podstawach zatwierdzonej ustawy; nie potrzebuje troszczyć się też o „jutro" dozwolone; mając pewność istnienia, może zakładać sobie na dalszą metę obliczone cele; wogóle rozwinąć bardzo płodną w skutki i szczęśliwą działalność. „Możność" zaś ta zależy obecnie tylko od dobrej woli społeczeństwa, od umiejętności i miłości sprawy objawionej przez koczowników.

O tem właśnie opowiada nam sprawozdanie. Dobra wola społeczeństwa znalazła swój wyraz w następujących cyfrach. Warszawa złożyła na rzecz kolonij w roku sprawozdawczym około 30 tysięcy rubli, kilkunastu obywateli ziemskich ofiarowało darmo mieszkania, furmanki, niekiedy mleko, nadto drzewo i nieco wiktuałów, kilkunastu lekarzy prowincyonalnych zaś — bezinteresowną pomoc lekarską. Komitet zaś starał się jaknajoszczędziej administrować tym kapitałem społecznym. Wydatki stałe wyniosły (lokal biura, pensye urzędników) 2,405 rb., utrzymanie kolonij — blizko 16 tysięcy rubli, inwentarz — 1,300 rubli. Przeciętnie koszt utrzymania dziecka wynosił w roku sprawozdawczym 11 rb. 57 k. w Moskwie 18, w Odesie 25, w Petersburgu 30 rb., w Berlinie 30 marek). Ogółem wysłano do kolonij dzieci 2,135 (w roku 1896 — 1,961): jest to cyfra najwyższa z notowanych we wszystkich latach ubiegłych. Składa się na nią 996 chłopców i 1,139 dziewcząt, a 1562 dzieci chrześciańskich, 573 żydowskich. Pod względem wieku największa ilość liczyła 10 lat, najmłodsze miały 7 (takich wysłano 7), najstarsze 13 lat (przyjęto 17). Zpośród dzieci wysłanych umiało czytać 1629 (czyli $^3/_4$); sierot i półsierot było 393 (czyli 18%), *przeciętna* ilość rodzeństwa żyjącego w rodzinach, których dzieci korzystały z kolonij, wyniosła: w rodzinach chrześciańskich 4, żydowskich 5 (przyczem maksymalna cyfra 11). Mieszkanie rodziców składało się z 1 stancyi w 1461 wypadkach (czyli 68%), w suterynach mieszkało 211 rodzin (czyli niecałe 10%).

W granicach cyfr powyższych zamyka się żywot kolonij naszych w r. 1897. Trzeba wyznać, że komitet poważnie wywiązuje się z zadania swego i że obowiązek zaciągnięty wobec ogółu spełnia z zapałem i namaszczeniem. Zapał ten dotyczy głównie działalności rozwijanej na polu zbierania składek. Ktokolwiek bodaj

---

XI.

A więc jak Żyd — tak właśnie jako Żyd — spieszyłem do ziemi obiecanej, a chora dusza moja rozwijała skrzydła do tego zamorskiego lotu. Nie liczyłem, ile dni, czy lat, czy miesięcy przeszło od czasu „powrotu" mego, dziś dusza moja smętna, ale cicha — odpoczywa... i śpiewa...

Stanąłem na ziemi świętej, jak żeglarz po walce z burzą dążący do dzikiej skały, wiedząc to tylko, że fale go tam nie zmogą, a nie myśląc o głodzie, nie bojąc się samotności, bo tej właśnie pragnąłem.

Zrzuciwszy z siebie powłokę europejską, piłem chciwie, namiętnie z tego puharu swobody, wróconej godności i spokoju, z uświadomionem szczęściem odradzającego się życia. Gałązka jerychońska, zmartwiała i zeschła w Europie, puściła zielone listki... Jak w szaty wschodnie me ciało, tak w nową formę oblekła się dusza moja — senna, leniwa, marząca.

W całej tej opowieści nie wspomniałem jeszcze ani razu o jednem wielkiem ukochaniu młodości mojej — muzyce. W najgorszych chwilach życia mego pozostałem jej wiernym, bo głodny nieraz i żądny zarobku, nie chciałem jednak nigdy zabawiać cudną wiolonczelą mą wrogiego tłumu, choć pamiętałem dobrze entuzyazm profesorów i kolegów w domu matki mojej i zachęty ich do występu w stolicy... Byłem zaś już tak zdenerwowany i chory, że nie mogłem znosić fałszów i skrzypienia uczniów. Późniejsze walki, spychając w otchłań mnie całego, zepchnęły w jakieś głębie i te rozśpiewane fale, które od dzieciństwa dźwięczały i szeptały we mnie i koło mnie... Starałem się zapomnieć o sobie — i o nich — przestały też wreszcie drażnić mię i wydzierać się z duszy mej na świat boży.

Ale oto w jedną z tych pierwszych nocy gwiaździstych, gdym leżał na arabskim kobiercu płaskiego dachu arabskiego, do uszu mych poczęły płynąć powoli dźwięki jakieś nieśmiałe zrazu a ciche, potem zaś akord po akordzie.. brzmienie strun śpiewnych... i głosy... głosy nieznane dotąd mi nigdy i nigdy dotąd niesłyszane. Obce i dziwne brzmienia harfy jakiejś wielostrunnej, cytary czy lutni.. harf, cytar, lutni tysiące... Niebiańska burza akordów rozrasta się coraz to szerzej, już mię okala, zawisa już nade mną... A głosy! głosy... niby mieszane i tłumne, a tak zgodne i harmonijne, jak gdyby z jednej olbrzymiej śpiewaczej piersi płynęły, pomimo melodyjnego rozdźwięku mnóstwa, mnóstwa głosów...

Chóry... chóry nadziemskie... trzepotanie srebrno-śnieżystych skrzydeł... krzyżujące się promienie boskich oczu... światło białych twarzy... i aureole splecionych gwiazd w lazurze... różane i srebrne od jakichś zórz niebiańskich pióra obłoków... kaskady róż i lilij i wonie róż i lilij... I w skrzydeł białych bezbrzeżnym a melodyjnym szeleście, i w głosów hymnie ginących w przestrzeniach nieskończoności, przy cichym wtórze srebrnodźwięcznych lutni — rozbrzmiewa nagle jeden głos. A oto wszystkie hymny i pieśni cichną i gasną w słońcu głosu tego. Król pieśni! król pieśni z piersi swej czarodziejskiej — śle pieśń swą ukoronowaną nad wszelkie inne, królewską pieśń nad pieśniami...

Kolana moje zgięły się, ramiona się wyciągnęły z namiętnem ubóstwieniem i szczęściem — wszelkie szczęścia ludzkie przechodzącem... Oczy podniosły się ku obłokom i w pośród nich dojrzały srebrny cień archanielski, unoszący się nade mną nędznym — z orszakiem swym srebrnoskrzydłym, srebrnogłosym, srebrnostrunnym!..

— Izrafil! Izrafil! Izrafil!

W tę noc księżycową wstąpił do mnie ten, co wodził po złotych strunach palce Dawidowe, co zawiesił na wierzbach babilońskich nieme lutnie Izraela — zstąpił do mnie geniusz ziemi mojej, archanioł pieśni hebrajskiej!...

* * *

Wiesz teraz, panie, kim jest ów „Ismaël," co się wsłuchuje w nadziemskie głosy — i śle wam potem swoje „Melodye Hebrajskie" i „Psalmy Dawidowe," symfonię „Izrafil" i „Chrystus na jeziorze Genezareth..." Wywiódł pan z ciemnicy duszę moją — i na ziemi pańskiej śpiewam o drogach jego... Zrozumiesz też — dla czego ich twórca, dziwny, ukryty twórca— nie przychodzi po te oklaski i laury, które sypiecie dzięki jemu orkiestrom i śpiewakom. Dla czego utwory te sprzedają „gojom" nędzarze bracia moi. Są one manną niebieską dla nich i dla

Twego wiernego

Ismaëla.

tylko przelotnie wstąpił na tę ścieżynę, gęsto wysłaną cierniem, ten wie dobrze, ile to trzeba zachodów, słodkich uśmiechów, uściśnień ręki, listów żebraczych, pochlebstwa i wielu innych jeszcze przykrości z katalogu klamstw konwencyonalnych, aby wycisnąć potężną cyfrę 30 tysięcy rubli. Powodzenie atoli obowiązuje. Nie zapominajmy, że wysłano 2.134 dzieci, podczas gdy zgłosiło się do zapisu 4,032, a iluż mamy ojców rodzin w Warszawie, którzy o istnieniu kolonij nie słyszeli. Działalność tedy Towarzystwa powinna rozwijać się coraz potężniej, obejmować coraz szersze koła proletaryatu miejskiego. Po czterotygodniowym pobycie dziecka na wsi powinno ono w dalszym ciągu korzystać w Warszawie przez czas 4—6 tygodni z opieki i dobrodziejstwa tak zwanych półkolonij, tj. otrzymywać codziennie pół kwarty mleka itd. Skutki bowiem pobytu na wsi — przeciętnie przybyło dzieciom 4 funty wagi — w atmosferze miasta, suteryny i... nędzy, w krótkim czasie giną. Taka zaś instytucya pół-kolonij, przyjęta za granicą, daje dobroczynne rezultaty. Życzymy ludziom dobrej woli, stojącym na czele instytucyi, powodzenia na drodze ich pracy społecznej, a Koloniom samym, aby nie traciły sympatyi trochę zmiennego w swych upodobaniach dobroczynnych społeczeństwa naszego.

S. P.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Syonizm.

Jeżeli pomimo tylu i tak wstrząsających wypadków, jakie zdarzyły się podczas ostatnich tygodni, kongres syonistów w Bazylei zdołał utrzymać przy sobie uwagę Europy, to widocznie przedmiot jego obrad posiadał jakąś siłę przyciągającą. Niewątpliwie. Świat obecnie zajmuje się Żydami tak gorąco, jak może nigdy nimi się nie zajmował. Dla mnie objaw ten jest zrozumiałym tylko na tle głównego prądu, przenikającego życie doby teraźniejszej, mianowicie antikapitalistycznego. Cokolwiek prawią i czemkolwiek się osłaniają ciemne, moralnie zgniłe lub sfanatyzowane żywioły, uczestniczące w „hecach,“ antisemityzm jest wyrodkiem socyalizmu i tylko jego sokom zawdzięcza swą żywotność. Ale nie chodzi mi w tej chwili o rozbiór źródeł ruchu, który pokrył czoło cywilizacyi wieloma rumieńcami wstydu; chcę bowiem tylko zastanowić się wraz z czytelnikami nad najnowszym jego skutkiem — syonizmem.

Było to wynikiem zupełnie naturalnym że w Żydach wyklętych, sponiewieranych, szczutych i kąsanych musiała po za pokorą i dążnością wytrzymania walki na gruncie zajętym narodzić się idea skupienia swych rozproszonych odłamów i stworzenia z nich gdzieś całości — jeżeli nie państwowej, to społecznej lub narodowej. Myśl ta olśniła wielkiego filantropa i jednego z największych marzycieli naszego czasu, bar. Hirscha, który dla urzeczywistnienia jej rzucił setki milionów guldenów w Argentynę. Jakkolwiek przedsięwzięcie jego zawiodło oczekiwania swego twórcy, sama idea nie mogła zgasnąć, bo była jedyną gwiazdą - przewodnią na krętych manowcach bez wyjścia. Nie wpatrywała się w nią owa religią zabalsamowana mumia cywilizacyi, trądem barbarzyństwa dotknięty, ciemny tłum żydowski, który troszczy się tylko o to, jak przenieść z dnia na dzień swoją nędzę i swoją wiarę, ale zwracali ku temu światłu wzrok przewodnicy „wiecznego tułacza,“ który zdaje się skazany został na to, ażeby nieszczęście siał i niedolę zbierał. Trzeba raz zdjąć — mówili oni — klątwę z naszego ludu, który w obecnych warunkach nie może być ani sobą, ani przedzierzgnąć się w inne postacie. Czy pozostaje w swej odrębności, czy się upodabnia do otoczenia, czy zachowuje swoje obyczaje, język, religię, czy przyjmuje cudze, dopóki tylko nie zetrze z siebie najsłabszego śladu pochodzenia, znosić musi pogardę, odrazę, krzywdy i prześladowania. Wyraz: *żyd* nie jest nazwą religijną lub plemienną, lecz zniewagą, wymysłem i oskarżeniem. Nienawiść ściga go w najdalszych przemianach, nie przebacza mu nazwiska, dźwięku mowy, kształtu nosa lub oczu, chociażby został sługą, niewolnikiem, dobroczyńcą swego przybranego społeczeństwa. Najmocniejsze węzły, które go z nim łączą, pękają co chwila w byle rozterce, najgorsze męty moralne uważają się za czystsze od jego szlachetności. A ta odraza wytryska nietylko w narodach nieoświeconych, lecz rozlewa się po całym obszarze kultury. Niemcy lub Francuzi, którzy już oddawna stopili w ogniu swej cywilizacyi Żydów, odszukują ich i wyklinają z taką zuchwałością, jak gdyby oni w stanie surowym zwalili się do nich wczoraj. Mniejsza o rachunki obustronnych win z dwu tysięcy lat — nikt ich dziś ściśle nie ułoży i rzetelnie nie sprawdzi. Wystarcza to przekonanie, że po tylu latach Żydzi są dotąd wielkiem nieszczęściem dla siebie i wielką plagą dla innych. Po co ta walka, to męczeństwo, to wzajemne znikczemnianie się ma trwać dalej? Czy nie lepiej, nie rozumniej i uczciwiej raz zakończyć ten sromotny proces historyi? Daremne są złudzenia zwolenników asymilacyi, która w wielu krajach odbyła się według wszelkich prawideł krzyżowania, nie zapobiegła jednak wybuchom nienawiści. Trzeba bez różowych szkieł spojrzeć na rzeczywistość i przyznać, że Żydzi nie łączą się ze swem odmiennem otoczeniem organicznie, lecz mechanicznie, że ich lada wstrząśnienie wydziela z mieszaniny i wyrzuca po za nią. Jeżeli więc nie chcą dłużej cierpieć sami i sprawiać cierpienia innym; jeżeli chcą zachować swoją naturę, ocalić swoją bezczeszczoną godność i zapewnić sobie w przyszłości istnienie, do jakiego każdy szczep ludzki ma prawo, powinni opuścić niegościnne siedziby swoich wrogów, przenieść się do rodzimego, straconego przed wiekami gniazda i tam stworzyć swój własny naród.

Tak mniej więcej rozwinął swoją ideę dziennikarz wiedeński Herzl, który jest ojcem syonizmu, ogromnego już dziś związku kółek, rozrzuconych po całym świecie.

A więc gromadna wędrówka do Palestyny? Tak.

Teoretycznie plan ten zasługuje na uznanie. Posiada on zaś najmocniejszą podstawę tam, gdzie od wieków istnieją wielkie skupiny żydowskie, które ani swego otoczenia nie strawiły, ani samo w niem się nie rozpłynęły. Jako kliny tkwić będą dalej w obcych pniach, rozsadzać je, nawzajem ściskane przez nie. W tych społeczeństwach europejskich, które — że tak powiem — przeszły punkt nasycenia i znajdują się w stanie coraz większego przesycenia Żydami, nadmiar tego pierwiastku musi gdzieś odpłynąć. Czy miejscem ich odcieku będzie Argentyna, czy Palestyna — to kwestya dla tej konieczności obojętna. Główna tkwi w okropnych stosunkach moralnych i ekonomicznych, których utrwalanie sprzeciwia się rozumowi, obraża uczucia i szkodzi interesom uczestników odwiecznej waśni. Komu lub czemu potrzebne są ciągłe konwulsye społeczne, wybuchy gniewu, pogromy, zatruwanie nienawiścią charakterów, zakażanie miazmatami antisemityzmu życia i literatury? Komu i czemu potrzebne są prześladowania i cierpienia żydów, ich nędza, ich rozpaczliwe wysiłki w walce o byt, ich tragiczne i niegodziwe sposoby ratowania swej egzystencyi? Komu i czemu potrzebna cała ta męczarnia i cała ta ohyda? Ci Żydzi, którzy zachowali swą odrębność i oparli się przez wieki wpływom odmiennego otoczenia, z pewnością nie pokochali go, bez żalu też opuszczą ziemię, która im nie dała szczęścia i przeniosą się gdzieindziej, gdzie znajdą lepsze i bardziej z ich naturą zgodne warunki życia. Wszakże w swych modłach tęsknią i proszą Boga, ażeby ich powrócił tam, gdzie stały kolebki i gdzie znajdują się groby ich przodków. Syonie, Syonie! — wołają płacząc — niechże idą do Syonu.

Ale sprawa ta inaczej się przedstawia na gruncie praktycznym. Syonizm bowiem, zamierzając z poszarpanych części swego ludu odtworzyć „naród,“ a może nawet z jego gruzów odbudować „państwo“ izraelskie, nie tylko nie nakłania Żydów do asymilacyi, ale przeciwnie zaleca im staranne podtrzymywanie swej odrębności — plemiennej, językowej, religijnej. Ponieważ zaś nie obiecuje on ich wyprowadzić do Palestyny ani dziś, ani za rok lub dziesięć lat, ani wogóle nie daje żadnej rękojmi, że kiedykolwiek tę wędrówkę im umożliwi, więc w łonie narodów europejskich, a głównie w naszym wzmacnia jeszcze bardziej odporność swych współwyznawców przeciwko społeczeństwu, w którem żyją. Mówi on do nich: nie łączcie się ze swymi współziomkami innej rasy, zachowujcie wszystkie swoje właściwości, opierajcie się pokusom obcej kultury, a kiedy wybije godzina wyzwolenia, zanieście swoją „narodowość“ nietkniętą do dawnej ojczyzny. Ta godzina powrotu do ziemi obiecanej przez syonizm może nadejść bardzo późno, może nie nadejść nigdy, a tymczasem oczekujące jej masy żydowskie pracować będą ciągle nad ochroną swej odrębności. Powtarzam: masy, gdyż syonizm ogłasza, że sieć jego agentur liczy już tysiące kółek a w samym obrębie państwa rosyjskiego około trzystu, jego hasła są roznoszone przez pisma żargonowe i sięgają swym wpływem się do warstw najniższych. Nie jest to więc dysputa akademicka w sferach oświeconych, której tłum nie słyszy, ale propaganda działająca śród najciemniejszych. Wiemy wszyscy, jaką to twierdzą niedostępną dla kultury, dla dążeń asymilacyjnych jest u nas świat ściśle żydowski; wyobraźmy sobie teraz, jak on się oszańcuje i głębokimi rowami otoczy, otrzymawszy zachętę i wskazówki od syonizmu. Pomyślimy dalej, że ten olbrzymi zaczepno-odporny obóz trzymać się będzie w walce przez dziesiątki lat — czego spodziewać się możemy? Rząd turecki nie pozwala Żydom osiedlać się w Palestynie; nie ma dotąd żadnego dowodu, ażeby ten zakaz został usunięty, a gdyby nawet go zniesiono, nie ma środków, któreby zdołały pokryć koszta wielkiej emigracyi; o prędkiem wykonaniu przeto planu syonizmu trudno marzyć. Wprawdzie zgromadzono już jakieś kapitały i założono bank syonistyczny, ale wobec ogromu przedsięwzięcia jest to kropla na rachunek morza. Cóż tedy ów ruch da chwili obecnej i przyszłości najbliższej? Rozniеci w Żydach niezdrowe wrzenie, podsycane złudną nadzieją poprawy losu, zbudzi w nich nienawistne uczucia względem otoczenia społecznego, rozgrzeje ich fanatyzm, a natomiast ostudzi chęć przystosowania się do warunków życia i zahypnotyzuje ich uporem w barbarzyństwie i odrębności. Z drugiej strony rozjątrzy żywioły odmienne, skłoni je do

użycia wszelkich sił i środków przeciw wewnętrznemu nieprzyjacielowi, wywoła nieskończony łańcuch coraz ostrzejszych starć i prześladowań. W ostatecznym rezultacie pomnoży tylko sumę niedoli, zaćmi rozumy namiętnościami i zbruka uczucia ślepą nienawiścią. Wobec tego niechybnego skutku uważamy robotę syonistyczną za nader niebezpieczną. Hirsch wprzód ofiarował wielkie kapitały i zakupił ziemie, a potem dopiero wezwał Żydów do emigracyi; syonizm postępuje odwrotnie: wprzód roznamiętnia masy mamidłami wielkiej wędrówki, a potem obiecuje znaleźć dla niej ujście. A jeśli go nie znajdzie? Czy wynagrodzi te szkody, jakie wyrządzi własnemu ludowi i tym, z którymi on był złączony? Przyklaśniemy jego idei, skoro on znajdzie grunt do urzeczywistnienia jej. Ale dopóki zapala tylko ognie psalmami niezniszczalnej nadziei, dopóki migocze światłem mrzonek, dopóki podburzającemi hasłami targa lub przecina stosunki życiowe, nie mogąc ich szybko związać w pożądany sposób, dopóty teoretycznie snuje złudzenia, a praktycznie obsypuje zarzewiem materyały wybuchowe. Niech o tem pamiętają jego rzecznicy, chociażby byli pewni, że nie oni będą musieli dźwigać następstwa niebezpiecznego ruchu, ale ci, których oni w niego wrzucili.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE

POSZUKIWANIA SOCYOLOGICZNE.

Byłby to niewątpliwie bardzo ciekawy przyczynek do dziejów rozwoju socyologii, gdyby ktoś zestawił ścieranie się zdań co do kolejnych form rodziny, oraz początków prawa ojcowskiego i macierzystego. Winniśmy zaznaczyć, iż kwestye te stanowią niemal uprzywilejowaną sferę poszukiwań i zarazem sporów. Poglądy wciąż się ważą: to jeden, to drugi z walczących kierunków zapanowywa. Naturalnie, odrodzenie następuje nie w formie dawnej, bo przeciwnicy, bądź co bądź, zmusili do porobienia pewnych ustępstw.

Poszukiwania Mac Lennana i Bachofena odkryły przed nauką widnokręgi, których nie przeczuwano nawet. Ukazały one w przeszłości klasycznej i w życiu istniejących szczepów obraz zgoła nowy: heteryzmu i prawa macierzystego. Pod wpływem tych studyów pojawiły się liczne prace, rozszerzające i uzupełniające doktrynę wspomnianych badaczów. Wreszcie poszukiwania Morgana i Howitta, dostarczając obfitego materyału z bytu ludów pierwotnych, zdawało się, ostatecznie przechyliły zwycięztwo na stronę teoryi, twierdzącej, że bezładne stosunki małżeńskie stanowią punkt wyjścia dla rozwoju rodziny, że prawo macierzyste, a przynajmniej pochodzenie w linii żeńskiej jest pierwotną formą oznaczania pokrewieństwa, po której dopiero później zjawiło się wyprowadzanie genealogii w linii ojcowskiej.

Kierunek ten przez pewien czas niemal wyłącznie zapanował w nauce. Pomniejsi jego przedstawiciele, zamiast pogłębić dowody i poddać krytyce własne założenia, spoczęli, że tak rzekniemy, na laurach. Zajęli się raczej popularyzowaniem wywodów powyżej wymienionych badaczów, nieświadomi słabych stron wyznawanej doktryny.

Ale wreszcie powstała reakcya. Westermarck, a przedewszystkiem Starcke dają jej początek. Obaj patrzą na macierzyństwo, jako na fazę późniejszą rozwoju społecznego, przyczem Starcke wyraźnie zaznacza, że warunki ekonomiczne, związane z rolnictwem, przyczyniły się głównie do liczenia genealogii w linii żeńskiej. Jednocześnie obaj odrzucają bezład pierwotny, jako rzecz, która przedstawia objaw wyjątkowy w dziejach ewolucyi społecznej. Grosse i ostatnio Cunow, różniąc się w tym i owym szczególe od wymienionych uczonych, dalej rozwinęli ich założenia. Wprowadzili oni do studyów nad dziejami rodziny nowy pierwiastek, dotychczas albo zgoła nie uwzględniany, albo lekceważony, mianowicie oddziaływanie stosunków gospodarczych na kształtowanie się prawa ojcowskiego i macierzystego na najniższych szczeblach kultury. Wykazali, a przynajmniej zwrócili uwagę na pewną stronę, dotychczas zaniedbaną, że niepodobna badać stosunków rodzinnych w oderwaniu od pozostałych sfer życia społecznego i że schemat, podany przez Morgana, grzeszy właśnie tem, iż ma obowiązywać w jednakiej mierze wszystkie ludy bez względu na warunki miejscowe, w których one przebywają, na odmienność tradycyi i przejść dziejowych. Nie podzielamy ich zapatrywań co do późniejszego powstania wyprowadzenia genealogii w linii żeńskiej, ale musimy przyznać im sporo zasługi. Przedewszystkiem pchnęli naukę o pierwocinach społecznych na nowe tory i wnieśli do niej zgoła nowe zagadnienia. Co przed laty kilkunastu zrobili inicyatorowie kierunku, broniącego zasady macierzystej, tego oni dzisiaj dokonali — zapobiegli rutynie i komentowaniu lub zestawieniu tylko pewnego materyału faktycznego; stworzyli życie tam, gdzie zaczął objawiać się zastój.

Parę tych uwag nasunęła nam świeża praca H. Cunowa, *) poświęcona rozbiorowi ekonomicznych podstaw prawa macierzystego. Niewielki ten przyczynek jest streszczeniem dzieła obszerniejszego, które ma niebawem się ukazać.

„Pomiędzy społecznem stanowiskiem kobiety a ustrojem gospodarczym — tak w końcu swojej pracy przedstawia on ostateczne wyniki, do których doszedł — istnieje ścisły związek. Tak zwane prawo macierzyste bynajmniej nie stanowi prawa „naturalnego," które rozwinęło się samo przez się z pierwotnego ukształtowania stosunków płciowych. Jest ono tak samo historyczne i przemijające, jak wszelkie inne, w ciągu wieków ogłoszone za takie i tak samo jest wyrażeniem pewnej fazy, rozwoju historycznego. Nawet pochodzenia w linii żeńskiej nadaremnie poszukiwalibyśmy na najniższych szczeblach, a kiedy wreszcie ono pojawia się w okresie późniejszym, służy jedynie do uniemożliwienia związków kazirodczych pomiędzy krewniakami ze strony macierzyńskiej. Nie pociąga ono za sobą żadnych specyalnych przywilejów dla rodzicielki. Przeciwnie, wszędzie na najniższych szczeblach kultury, mężczyzna panuje, prawo bowiem silniejszego jest silniejszem. Dopiero zwolna, w ciągu rozwoju ekonomicznego, pod oddziaływaniem czynników gospodarczych, powstają wszystkie te małżeńskie i inne prawa kobiety, które (złączone bez żadnego odróżnienia pod nazwą prawa macierzystego) tak często uchodziły za następstwo bezładu pierwotnego lub rzekomo naturalnego stosunku opiekuńczego matki do dziecka w początkach rozwoju społecznego. I dla okresu najwcześniejszego zachowuje moc swoją zasada, że urządzenia społeczne zależą od ukształtowania się produkcyi. W żadnym razie nie wolno tej ewolucyi uważać za samoistny proces, odbywający się wszędzie w sposób jednostajny. Pierwotne fazy gospodarcze, daleko więcej niż późniejsze, podlegają wpływom przyrody miejscowej.".

Uwaga to niewątpliwie słuszna z pewnemi zastrzeżeniami, dotyczącemi pochodzenia w linii żeńskiej, o którem Cunow powiada, iż napróżno poszukiwalibyśmy go na najniższych szczeblach kultury. Wiejednak dobrze, że istnieje u większości ludów N. Holandyi, przedstawiających w chwili obecnej najbardziej upośledzone ogniwo rodu ludzkiego. W jaki więc sposób wyjaśnia on początek tego zwyczaju? Zdaniem jego, człowiek pierwotny uwzględniał pokrewieństwo w obu liniach, męzkiej i żeńskiej. Ponieważ dziecko przebywa w gromadzie ojca, przeto stwierdzenie związków pokrewieństwa pomiędzy niem a rodziną ojcowską nie przedstawia żadnych trudności — współżycie je ujawnia. Ażeby uniemożliwić obcowanie małżeńskie pomiędzy nimi, dość będzie wprowadzić odpowiednie zakazy posługiwania kobiety przez mężczyznę tej samej gromady. Inaczej się dzieje, gdy chodzi o uwydatnienie i zapamiętanie wspólności krwi ze strony matki, która pochodzi z innej gromady i której krewniacy pozostają w tej ostatniej. Jeśli, w chwili zawierania małżeństwa przez syna, matka nie żyje, może być rzeczą mozolną wyszukanie grupy, do której należała przed zamążpójściem, oraz stopni pokrewieństwa, łączącego ją z innymi jej członkami, zwłaszcza jeśli ojciec posiadał kilka żon i często je wymieniał na inne. Nazwisk familijnych, z których możnaby powziąć bliższe informacye, niema jeszcze na tym szczeblu rozwoju, imiona zaś własne podlegają zmianie z każdym okresem życia indywidualnego. Zaczęto więc nadawać dzieciom nazwy totemiczne po matce, co po upływie pewnego czasu „z konieczności" doprowadziło „do uważania pochodzenia w linii żeńskiej za ważniejsze i bardziej stanowcze."

W taki sposób Cunow wyjaśnia rodowód prawa macierzystego, o ile pod niem rozumieć będziemy pochodzenie w linii żeńskiej. W tej hipotezie braknie tylko jednej rzeczy, wprawdzie najważniejszej, bo materyału faktycznego! Przyznaje to i sam autor, skromnie zaznaczając, iż nie może dostarczyć na to dowodów indukcyjnych.

Natomiast wywody jego, dotyczące „macierzyństwa," pojmowanego jako okres posiadania przez kobietę wyjątkowych przywilejów, są niewątpliwie słuszne. Właśnie przelanie światła na tę stronę życia pierwotnego stanowi największą zasługę kierunku, występującego z opozycyą przeciw szkole, której początek dali Bachofen i Morgan. Etnologowie, którzy mówią o względnie wysokiem stanowisku kobiety w czasach najodleglejszych, nie zdołali poprzeć swego twierdzenia przykładami, zaczerpniętymi z życia rodzinnego najniżej stojących szczepów. Ilekroć przytaczają oni fakty, mające wykazać naturę macierzyństwa pierwotnego, mówią zawsze nie o stosunkach rodzinnych grup dzikich, utrzymujących się z polowania, nie o najniżej położonych ludach Melanezyi lub najbardziej upośledzonych plemionach Brazylii, tylko o Malajczykach, o Czerokach i Irokach, mających za sobą długie doświadczenie społeczne. Narody te mają służyć za przykład, jak kształtowały się najwcześniejsze urządzenia!

Rodzina macierzysta, taka, o jakiej mówią etnografowie, gdy opisują zwyczaje rolników-barbarzyńców, powstała pod wpływem rozwoju stosunków gospodarczych.

W miarę wzrostu działalności kobiety, jako osoby, zajmującej się uprawą pól i przygotowaniem sprzętów domowych,

*) H. Cunow: *Die oekonomischen Grundlagen der Mutterherrschaft.*

wzmaga się pożytek, dostarczany przez nią, jej wartość robocza dla ojca i gospodarstwa domowego. Wykazuje on coraz mniej gotowości oddania córki za byle co pierwszemu lepszemu, który zapragnie pojąć ją w małżeństwo. Za pożytek, którego się wyrzeka, wymaga on odpowiedniego równoznacznika w formie upominków lub usług. I ten, kto nabył taką cenną siłę roboczą, zaczyna rozumieć, że jej nie zastąpi tak łatwo przez drugą — na taki zbytek mogą pozwolić sobie tylko wodzowie i wogóle możni. Pojmuje on, iż prostą siłą brutalną niewiele da się dopiąć tem bardziej kiedy gęstość zaludnienia wzrosła, wioska leży w pobliżu wioski i krewniacy żony mają możność ująć się za jej krzywdy. Wszystkie te okoliczności zmuszają mężczyznę postępować łagodniej względem żony.

Jednocześnie działają jeszcze inne pobudki.

Na pewnym szczeblu rozwoju gospodarczego, wszędzie można spostrzedz dążenie zatrzymania dzieci jak najdłużej w domu. Prowadzi to do współżycia w tem samem gospodarstwie wielu stadeł małżeńskich i do powstania zadrug. Karczunek lasów, przeprowadzanie kanałów, grodzenie, wszystko to wymaga współdziałania wielu sił roboczych. Tam, gdzie rolnictwo spoczywa wyłącznie lub głównie w ręku kobiety, stają się one jądrem całego gospodarstwa. Jako kierowniczki domostwa, pozostają one w zadrudze, tymczasem mężczyźni przebywają wciąż po za domem, polując, łowiąc ryby i trudniąc się wojną. Rola, uprawiana przez kobiety, dostarcza stałych płodów, źródła zaś zarobku męskiego odznaczają się chwiejnością i często zawodzą. Skutkiem tego kobiety w kole-rodzinnem zyskują coraz bardziej na znaczeniu i powadze, nadto w następstwie pożycia wspólnego pomiędzy siostrami wytwarza się rzadka solidarność. Nietylko ojciec zaczyna rozporządzać losem córki, lecz i inni członkowie rodziny, zwłaszcza stojący na czele, posiadają głos w tej sprawie. Ci okazują opór, gdy chodzi o oddanie dziewczyny komuś na zewnątrz. Dorastające dziewczęta oraz ich przyszłe potomstwo ma pozostawać w zadrudze. Mężczyźni, nieposiadający środków na kupno żony, mają jedno tylko wyjście z położenia, mianowicie osiąść w domu jej rodziny, tj. zostać wstępniami. Zwyczaj ten rozpowszechnia się i z biegiem czasu wszyscy czynią to samo. Takie pozostawanie w kole zadrugowem rodziców zdarza się coraz częściej, przyczem sam związek małżeński odznacza się szczególnym charakterem: mąż jest tylko gościem żony, odwiedzającym ją częściej lub rzadziej. Gdzie ta ostatnia forma zapanowała, tam kobieta posiada w gospodarstwie olbrzymią władzę; tam ogromne zadrugi, liczące kilkudziesięciu członków, stanowią jedyną formę bytu ekonomicznego.

Dla tej samej przyczyny, ponieważ macierzyństwo znajduje się w ścisłym związku z pewną fazą gospodarczą, mianowicie z rolnictwem, nie odkryto go dotychczas u ludów pasterskich. Rzecz to zrozumiała, gdy uwzględnimy zasady ekonomiczne takiego trybu życia. Trzody należą tam zawsze do mężczyzny, który je pielęgnuje i ochrania, nawet dojenie stanowi jego obowiązek, a raczej przywilej.

Lecz rozwój rolnictwa sprzyja znaczeniu kobiety tylko do pewnego czasu. W miarę tego, jak ono robi coraz dalsze postępy i staje się jedynem źródłem utrzymania dla społeczeństwa, polowanie zaś i rybołówstwo zamieniają się na rozrywkę, mężczyzna jest zmuszony także zająć się uprawą roli. Kobieta staje się tylko jego pomocnicą. Zamiast macierzystej powstaje zadruga ojcowska, jak to było u starodawnych Rzymian, Japończyków i Chińczyków. Jeśli przytem hodowla odgrywa także znaczną rolę w dostarczaniu środków utrzymania, to zanik wpływów i znaczenia kobiety rychło nastaje.

Poprzestaliśmy na możliwie przedmiotowem oddaniu zasadniczej myśli Cunowa. Niewątpliwie idea o zależności kształtów rodziny od wzajemnego znaczenia gospodarczego obu płci jest słuszną, atoli wykazanie sposobu, jak ona w rzeczywistości ujawniała się, pozostawia, naszem zdaniem, dużo do życzenia.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Piotr Chmielowski: *Nasza literatura dramatyczna.* Petersburg, 1898 r., 2 tomy.

Dwa spore tomy „Naszej literatury dramatycznej“ w opracowaniu P. Chmielowskiego zawierają w sobie obraz całej niemal twórczości naszej na polu dramatu, poczynając od pierwszych jej nieśmiałych prób najprzód w dyalogach pobożnych i szkolnych, w które przeistoczyły się u nas misterye średniowieczne, potem w tłomaczeniach autorów klasycznych w dobie humanistów, a kończąc na najświeższych objawach w tej dziedzinie sztuki. Obraz ten wszakże historyą dramatu nie jest, jak autor wyraźnie zastrzega w przedmowie; wiadomości tu zawarte co do rozwoju formy dramatycznej, co do zależności tej formy i treści od prądów cywilizacyjnych Zachodu, od zmian w środowisku społecznem itp., wiadomości te, mówię, są zbyt urywkowe, nie składają się na całość w świetle jednej myśli przewodniej. Mamy raczej szereg odrębnych, luźnie tylko złączonych z sobą rozpraw, których przedmiotem rzadziej jest pewien okres twórczości dramatycznej, częściej — twórczość pojedynczego pisarza. Są to wszystko, jak się autor wyraża, *przyczynki* do dziejów dramatu, są to cegły odosobnione, materyały zgromadzone do użytku własnego lub cudzego, lecz nie wykończona artystycznie budowa. Jeżeli zważymy teraz, że książka zawiera tysiąc stronic dość zbitego druku, że składa się z trzydziestu monografij pod osobnymi tytułami, z których niejedną można podzielić na kilka mniejszych, oczywistą staje się niemożność streszczenia wyników, do których autor doszedł.

Jeżeli zadamy sobie pytanie, czy w każdej z tych rozpraw mamy oczekiwać jakiegoś zośrodkowania się, jakiejś całości zaokrąglonej? Odpowiedź wypadnie przecząca. Istnieje zupełna analogia pomiędzy budową całego dzieła a budową każdego szkicu z osobna; każdy z nich niemal składa się z ustępów, z cząstek poniekąd od siebie niezależnych. Okoliczność ta zaznaczona jest wynikiem sposobu, w który powstała książka P. Chmielowskiego o dramacie. Jest to w znaczniejszej mierze jeno zbiór spostrzeżeń, niby zbiór uwag marginesowych, wrażeń odniesionych z przedstawienia tej lub innej sztuki (autor nie wykreśla nawet uwag o grze aktorów). Artykuły i artykuliki, wzmianki i sprawozdania w różnym czasie i w różnych okolicznościach pisane, później zostały połączone w całość mniej więcej ciągłą wskutek pokrewieństwa treści. Jakaś rozprawa tu i owdzie jest znowu owocem umyślnych badań, przedsięwziętych nad twórczością upodobanego pisarza. Gdzieindziej autor streszcza wyniki pracy własnej lub cudzej dla osiągnięcia formalnej przynajmniej ciągłości dzieła czy pojedynczej rozprawy; niekiedy powraca z tego lub innego powodu do tych samych utworów (jak np. w ocenie twórczości dramatycznej Słowackiego), powtarza zatem dawniejsze swe uwagi, rozsnuwając je nieco szerzej, zwłaszcza co do punktu, nad którym ponownie zastanowić się mu wypadło. Czasem pobieżnie jeno dotknąwszy znamion główniejszych, ale już gdzieindziej uwydatnionych, czy to przez niego samego, czy też w pracach innych badaczów, obszernie natomiast traktować będzie jakiś szczegół drobniejszy, dlatego właśnie, że był dotychczas pomijanym lub zgoła nieznanym. Słowem, są to rzeczywiście *przyczynki* do historyi dramatu. W ocenie działalności pojedynczych pisarzów autor uwzględnia niemal zawsze związek, jaki zachodzi pomiędzy dziełami twórców a ich temperamentem, otoczeniem społecznem, wpływami poprzedników itd. Lecz związek ów zaznaczany bywa we wzmiankach okolicznościowych, nieposiadających większego znaczenia w konstrukcyi szkicu. Każdy wstęp istnieje w rozprawie Chmielowskiego dlatego, że ma wagę sam w sobie, nie dlatego zaś, że może uwydatniać myśl przewodnią. Zwykle autor pragnąc dać mniej więcej dokładny obraz rozwoju talentu pisarza, o którym mówi, stosuje się do chronologicznego następstwa jego utworów, tak samo jak w rozbiorze pojedynczego dzieła komentator chętnie postępuje za twórcą, posiłkując się streszczeniem i przy sposobności wtrącając swe uwagi. Nadmienić musimy, iż szczegółowe streszczenie często umożliwia śledzenie myśli autora nawet w razach, kiedy utwór, poddany rozbiorowi, jest nam nieznany. Kiedy materyał jest zbyt obfity, autor czasem odstępuje od stałego swego zwyczaju opowiadania wątku utworów i ustawiania je w szereg chronologiczny, grupując natomiast przedmioty według pokrewieństwa ich treści lub formy, to znowu rozważa zosobna różne właściwości scenicznego pisarza.

Pomienione wyżej właściwości wykładu autora mają swe niedogodne strony; zrazić one mogą często tę kategoryę czytelników, która w szkicach krytycznych zwykła poszukiwać swoistego zadowolenia estetycznego. Spokojny, zrównoważony, przedmiotowy sposób ujęcia rzeczy nie sprawia takiego uroku, jak np. barwne, wypukłe, zośrodkowane, acz jednostronne charakterystyki Taine'a, jak skończone w sobie, wykwintne cacka artystyczne Lemaitre'a. Nawet płaski, udający głębokość Bourget w swym szkicu np. o Dumasie synu silniej, niż nasz badacz swą rozprawą, dajmy na to o Zalewskim, zdoła pociągnąć ku sobie lubowników przyjemnego czytania, dzięki swej syntezie, jakkolwiek ona jest nad miarę płytka i w pawie piórka strojna — dzięki tej okoliczności, iż wznosi swego słuchacza na pewną wysokość i z tego punktu jednym rzutem oka każe mu objąć cały obszar oglądanej przestrzeni, choćby to było tylko bagienko, od którego powierzchni biegną ku oku spostrzegacza powabne dlań połyski, choćby ta wyniosłość, na której chwilowo znajdujemy się z krytykiem, niebawem usunąć się miała w topielisko. Forma ma zresztą znaczenie nietylko dla upodobań estetycznych czytelnika. I umysł jego dla ogarnięcia i należytego przyswojenia treści potrzebuje jakiegoś jej skupienia, nuży się zaś, gdy fakty pojedyncze rozsypują się na kształt paciorek, nieukładających się w rysunek, lecz mechanicznie jeno związanych nicią łączności formalnej.

Byłoby to atoli wielką niesprawiedliwością stawiać autorowi takie wymagania, jakim zadośćuczynić nie miał zamiaru. Niech tylko czytelnik nie poszukuje w książce P. Chmielowskiego tych wra-

żeń, których tu znaleźć nie może, a tak przestrzeżony z jego pracy odniesie korzyść rzetelną. Bo mówiąc o pewnej luźności uwag, raz jeszcze z naciskiem powtarzam — mam na myśli jeno formę, bynajmniej zaś nie chciałem utrzymywać, iż autor „Naszej literatury dramatycznej“ pomija takie rzeczy, jak stosunek dzieł do ich twórców, do społeczeństwa itd., to jest, żeby nie obierał takiego punktu widzenia, z którego da się objąć jako całość badane dzieło. Tyle tylko, że szczegół i teza mają niby równouprawnione stanowisko. I nieraz, gdyby ktokolwiek chciał pokusić się o wyższy stopień syntezy w tym lub innym przypadku, mniejby może miał do powiedzenia istotnie nowego, niżby to na razie wydać się mogło.

A teraz uprzytomnijmy sobie prawdę, że nikt dotychczas nie objął całości dziejów naszego dramatu, choćby to było w taki monograficzny sposób, jak u Chmielowskiego, jeżeli, rozumie się, pominiemy bibliograficzne niemal spisy i ogólnikowe wiadomości w podręcznikach literatury; że nikt nie zgromadził tyle materyału, który on czerpie zawsze u źródła. Jeżeli uwzględnimy te okoliczności, wyjaśni się nam do pewnego stopnia rola, którą dwa tomy P. Chmielowskiego odegrać muszą dla każdego, kto chciałby bliżej się poznać z dramatem naszym, czy to w celu głębszych badań, czy też poprostu dla rozejrzenia się pilniejszego w dziedzinie, której krytyka, po za dorywczemi sprawozdaniami mniej u nas poświęca uwagi, niż np. powieści i poezyi. Są zapewne pewne opuszczenia, pewne luki w zbiorze obrazów P. Chmielowskiego. Pamiętajmy wszakże, że galerya jego jest, można rzec, jedyną, a przecie tak zasobną. Przechodząc kolejno od jednego portretu do drugiego, zdać sobie sprawę możemy jeżeli nie z bogactwa, to przynajmniej z wielkiej obfitości materyału, z którym bez takiego przewodnika, jak Chmielowski, naprawdę trudno byłoby sobie poradzić. Już ta okoliczność, że autor poświęca temu lub owemu dziełu mniej lub więcej uwagi, do pewnego stopnia może służyć za wskazówkę, w jakie zjawiska wejrzeć należy pilniej, które zaś mają podrzędne jeno znaczenie. Rozpatrzywszy się, być może niejeden wniosek uznamy za mało zasadny, przedmiotem i znamionem, lekko traktowanym, nadamy większą wagę i odwrotnie. Ale pewnem zawsze pozostanie, iż pierwszym kierownikiem był dla nas Chmielowski. Uwagi jego mogą wydać się niekiedy zbyt drobiazgowemi, lecz o jaką nieskończoną ilość szczegółów potrącają one, szczegółów, które trzeba obmyśleć pilnie, aby zdać sobie sprawę co do całości wrażenia, co do źródeł, z których tryska zdrój natchnienia twórcy, celów, ku którym on dąży. Więc będziemy mieli cały szereg roztrząsań w obrębie warunków ściśle technicznych sztuki, np. żywości i naturalności dyalogu, stosunku jego do dalszego rozwoju akcyi, spójności budowy, konsekwencyi charakterów, wiarogodności sytuacyi, stopniowania efektów itp. Może autor niekiedy zbyt wielką nawet wagę przypisuje niektórym z tych mechanicznych niejako względów, mianowicie temu ich układowi, który się zowie *scenicznością*. W niektórych wypadkach, jak np. „Balladyna“ Słowackiego, czy „Dnchy“ Okońskiego, chciałoby się powiedzieć: niech się raczej scena stosuje, jeśli może, do dzieła sztuki, niżby twórca miał krępować swe natchnienie znieruchomiałemi nawyknieniami widzów i aktorów i mechaniczną rutyną widowisk. Są rzeczy tej miary, że wydaje się jakąś profanacyą ocena ich podług tego, czy przypadają do raz na zawsze urządzonej widowni. Przecie to niegdyś *sceniczność* zasadzała się pono na jedności miejsca, obecności chórów itp. Rozwijająca się twórczość strzaskała uciskające ją obręcze, rozsadziła ciasną formę, w której się zamknęła. W miarę potrzeby niech sztuka naśladowcza podąża za twórczą, nie odwrotnie.

Spieszę dodać, iż krytyka Chmielowskiego nie zamyka się w ciasnych szrankach uwag fachowych. Ciągle on przypomina czytelnikom, że w zakres dociekań estetycznych wchodzą wszelkie warunki oddziaływania tworów artyzmu na uczucie, wyobraźnię i umysł widza, a zatem i te, które wyrokują o etycznej i społecznej zawartości dzieła. Jaka jest podniosłość wystawionych charakterów i uczuć? Czy forma ich wypowiadania się zdolna jest silniej poruszyć duszę słuchaczów? Jakim jest stosunek twórcy do własnych kreacyj? Te i tym podobne zagadnienia ustawicznie zwracają na siebie myśl krytyczną naszego badacza, a nasuwające się z tych powodów wnioski poddane są pod sąd czytelnika. Niepotrzebną tu jest wiara *in verba magistri*. Nieraz donioślejsze ma dla nas znaczenie okoliczność, że ku czemuś skierowano naszą uwagę, aniżelibyśmy mieli bez zastrzeżeń uznać słuszność przekładanego nam zdania. Przecież zaznaczyć należy, iż czytelnik bardzo często wyrazić będzie musiał bezwarunkową zgodę na sądy autora, tak są one zwykle głębokie i wytrawne, a wyrażone stylem mało wprawdzie ozdobnym, spokojnym, lecz doskonale przejrzystym. I czy to badacz, zadowolony z tego, że obfitszym się stał materyał i gromadzą „przyczynki,“ czy widz, poszukujący wytłomaczenia swych wrażeń, czy wreszcie czytelnik, pragnący dopełnić swe urywkowe wiadomości, każdy z nich znajdzie w dziele P. Chmielowskiego wiele rzeczy ciekawych i pouczających. Należy dodać chyba, że „Nasza literatura dramatyczna“ w części znacznej, bo przenoszącej połowę, otrzymaćby mogła tytuł: „Nasz dramat współczesny,“ tj. dramat z tej doby, którą autor objął w swym „Zarysie.“ Dwie seryo „Naszych powieściopisarzów,“ „Współcześni poeci polscy,“ a obecnie drugi tom i część pierwszego „Naszej literatury dramatycznej“ — to są na szerszą skalę roztoczone części obrazu umysłowości naszej, zamkniętego w „Zarysie.“ A wszyscy wiemy, iż to obraz dotychczas jedyny. Jedyny — bo ten, co go stworzył, jest jedynym u nas (o ile chodzi o literaturę bieżącą) czujnym a wytrwałym pracownikiem, którego działalność na niwie krytycznej nie ustawała nigdy, nie posiadała znamion dorywczości. I dlatego w tym samym tomie nie spotykamy u Chmielowskiego jednocześnie, dajmy na to, rozprawy o liryce staropolskiej i rozbiorze ostatniej powieści Sienkiewicza.

Do całości obrazu brak nam jeszcze drugiej seryi „Autorek polskich,“ czeka bowiem jeszcze swojej kolei i Orzeszkowa, i Konopnicka, i Ostoja, ba, znajdą się jeszcze talenty kobiece mniejszej lub większej miary. A zatem?

A. Drogoszewski.

LITERATURA ANGIELSKA.

Poesies of Sidney Lanier, New-York, 1896. — Th. Bentzon: *Sidney Lanier*, 1998.

Społeczeństwa, wystawiające swym poetom, po śmierci, pomniki uznania, znajdują się nie tyle pod władzą uczuć wdzięczności, co ukrytych zgryzot sumienia. I w tem właśnie się zawiera użyteczność społeczna pomników: one są ciągłym bezustannym wyrzutem. Może dlatego ludzie coraz bardziej się od nich odwracają, a niektórzy chcieliby je całkiem znieść. Te myśli przychodzą do głowy z powodu Laniera, który umarł w nędzy, nieuznany i którego obecnie Amerykanie wysławiają, jako chlubę narodową. Pochodził z rodziny muzykantów. Oddaleni jego przodkowie byli Francuzami, wygnanymi z kraju za czasów prześladowania hugonotów. Przenieśli się do Anglii i tam zyskali sobie uznanie i sławę w sztuce muzycznej. Dziad poety, Tomasz Lanier, emigrował do Ameryki i osiadł w Wirginii. Młody Sidney odziedziczył po przodkach zamiłowanie artystyczne. Prawie bez żadnej pomocy umiał już w dzieciństwie grać na skrzypcach i flecie; przytem uczył się doskonale: w czternastym roku życia wstąpił do uniwersytetu. Otrzymawszy wcześnie dyplom, zajął się udzielaniem lekcyj. Nie wiedział jeszcze, jakiej specyalności ma się poświęcić. Charakterystyczne pod tym względem są słowa, które pisał w osiemnastym roku życia: „Chciałbym sobie wyjaśnić punkt następujący: w jaki sposób mógłbym poznać, do czego jestem właściwie powołany, jakie są moje skłonności i zdolności? Głównie zbija mnie z tropu to, że popędy naturalne prowadzą mnie ku muzyce, w tej dziedzinie mam talent największy i mogę powiedzieć, nie chwaląc się, iż mógłbym wznieść się tak wysoko, jak każdy inny kompozytor. Nie umiem wszakże wmówić w siebie, iż mam zostać muzykantem, gdyż muzyka wydaje mi się rzeczą nieznaczną w porównaniu z tem wszystkiem, co mógłbym zrobić.“

A mianowicie — jak z tegoż kajetu się dowiadujemy — posiadał jednocześnie wielkie ambicye literackie. Tymczasem wybuchła wojna secesyjna i rozwiała wszystkie zamiary młodzieńca. Sidney miał smak nader wyraźny do życia czynnego i dlatego bez długiego namysłu zaciągnął się do armii. Przez cały czas wojny poeta wytrwał w obowiązku, czuł jednak coraz większe obrzydzenie ku okropnym i krwawym jego scenom. Opisał je później w romansie symbolicznym, zatytułowanym „Tiger Lilies.“

Służba wojenna rozwinęła w nim zarodki suchot, które otrzymał w spuściznie po matce. Chory, znużony i biedny, wrócił pieszo, w r. 1865, po skończonej wojnie, do miejsc rodzinnych i w braku innego zajęcia przyjął urząd podrzędny w jednem z biur. Wszystko to nie zraziło go jednak i nie odebrało wiary w życie i w ludzi. W czasie tym napisał następujące wyznanie wiary idealisty. „Jestem przekonany, że miłość jest jedynym łańcuchem zbawienia, które niebo rzuca nam, rozbitkom, pokonanym w życiu. Miłość bliźniego, miłość kobiety, miłość Boga... Według tego jak kochamy mniej lub więcej, jesteśmy mniej lub więcej zwycięzcami nad ciałem i śmiercią a im bardziej kochamy, tem bliżsi jesteśmy Boga, gdyż Bóg jest miłością; gdybyśmy kochali, jak on kocha, bylibyśmy do niego podobni.“

Chwile wolne od pracy w biurze poświęcał poezyi: pisał wspomnienia z wojny i z życia rodzinnego, w których tu i owdzie przesuwają się wyznania nędzy. W swych „Snach styczniowych i czerwcowych“ poeta marzy nietylko o pięknie, ale i o chlebie. Przytem życie w miasteczku prowincyonalnem nużyło go jednostajnością, a brak książek dokuczał niesłychanie.

W r. 1867 ożenił się z p. Maryą Day. W dwa miesiące potem pluł krwią i na gwałt należało udać się do New-Yorku dla poradzenia się tamtejszych doktorów. Tu nastąpiła chwilowa ulga, a zarazem i położenie materyalne poety się poprawiło, gdyż znalazł zajęcie odpowiedniejsze i wydawców mniej skąpych. Miłość wprowadziła w mroki tego życia promień światła i pociechy, jak to sądzić możemy z poematu „My Springs,“ poświęconego [illegible].

„Pośród urwisk życia znam dwa źródła, które potokiem nieustannym leją swe

przezroczyste fale w oddalone jezioro marzeń mej duszy. Nie większe niż dwoje pięknych oczu, leżą pod zmiennem niebem, odbijając wszystko, co przemija w życiu i czasie.

Zawsze, gdy pozory miłości znikają pod tchnieniem burz rozkiełznanych, spoglądam w me dwa źródła i widzę w nich miłość prawdziwą.

Zawsze, gdy wiara pod ciosami boleści kona w nadmiernej goryczy, spoglądam w me dwa źródła i odnajduję wiarę w uśmiechu nieśmiertelnym.

Zawsze, gdy nadzieja, skazana na mroki, kroczy omackiem, wracam do mych źródeł i widzę to światło, co więźniów czyni wolnymi.

Zawsze, gdy sztuka o skrzydłach kapryśnych odlatuje i nie słyszę jej śpiewów, odnajduję w mych dwu źródłach czar, który zmusza ją do powrotu.

Gdy praca słabnie, gdy sława zawodzi, gdy skromna nagroda się wymawia — uciekam do mych dwu źródeł — i niebo ponownie staje się dostępnem."

Przekonawszy się ostatecznie, iż zajęcia biurowe i adwokackie są dlań zupełnie nieodpowiednie, Lanier wstąpił jako flecista do słynnej orkiestry Peabody w Baltimorze i tu przebył lat sześć, umieszczając w dalszym ciągu swe wiersze po miesięcznikach. Nie przypadały jednak do smaku czytelników swem artystycznem wyrafinowaniem.

Ojciec, a nawet żona, zaczęli wątpić o jego powołaniu i namawiać do innego zawodu; musiał się usprawiedliwiać, przepraszać. Do pierwszego pisał: „Kochany ojcze, pomyśl, iż w ciągu lat dwudziestu z rzędu, pomimo nędzy, cierpienia, choroby, pomimo atmosfery antypatycznej szkoły i armii, bez żadnego związku ze światem literackim, pomimo wszystkich warunków niedogodnych i zrażających, te dwie postacie muzyki i poezyi tak potężnie panowały w mem sercu, iż nigdy nie mogłem ich stamtąd wypędzić. Czyż nie wydaje ci się, iż powinienem zostać pośród wiernych tych dwu istot wzniosłych, którym służę tak długo i tak pokornie śród takiej masy goryczy?"

A do żony pisał jednocześnie: „Wierz, że wszystkie te zawody są nieuniknione i że spotkam inne jeszcze, zanim ukończę walkę, którą każdy wielki artysta przebyć musi od samego początku świata. Filozofia moich niepowodzeń na tem polega, że jest zbyt wiele zręczności pomiędzy mną a publicznością... Nie mniej więc obaw o mnie, spoglądaj na wszystkie próby, które przebywam, jako na dowód, iż sztuka nie ma wroga większego, niż to, co nazywają rzemiosłem." Istotnie demokracya, rozkiełznawszy wszystkie żądze współzawodnictwem, nawodniła literaturę i sztukę masą rzemieślników, którzy istnieją zręcznością lub drobnemi usługami, dobremi dla ludu zaledwie zaczynającego sylabizować. Przy takich warunkach genialny artysta w rodzaju Poego lub Laniera, który w pełnem znaczeniu tego słowa tworzy, wydobywając wszystko z siebie — co wymaga wielkiej, nieraz kilkoletniej pracy w tym kierunku, jest tak opłacany, jak korespondent żyjący w znaczeniu myśli z dnia na dzień i posiłkujący się w swej pracy nie tyle piórem, co nożyczkami. I w końcu okazuje się jeszcze, iż elukubracye jednodniowe korespondentów i gryzipiórków dziennikarskich, których utwory po roku, nieraz po miesiącu, idą na owijanie pieprzu, są tak opłacane, jak utwory Laniera lub Poego, stanowiące dla pokoleń całych nektar ożywiający. Przy takich warunkach geniusz musi zanikać, a rzemiosło rozkwitać. Jeżeli pole zajęte przez oset i głóg i gdzie zrzadka tylko szlachetniejszy kłos napotkać można, postawimy w jednakowych warunkach, światła, ciepła, nawozu itd., to oset i głóg rozkwitać będą, a kłosy szlachetniejsze zanikać.

Biedny Lanier rozumiał to, przewidywał swój koniec i ze zwykłym swym idealizmem pisał: „Mniejsza o to, że będę pokonany; porażka w tej sprawie nic nie znaczy." „Niechaj imię me będzie pokryte sromotą, byleby Francya była wolną! — wołał Danton, co ja w moim wypadku mogę tak przetłomaczyć: Niechaj imię me zaginie, moja poezya jest dobrą poezyą, moja muzyka jest dobrą muzyką, piękno nie ginie, a serce, które go łaknie, potrafi je odnaleźć."

Pod tym względem biedny Lanier niewątpliwie się mylił. W świecie piękna i myśli, wogóle syntezy estetycznej i umysłowej społeczeństwa żyją systematycznym wyzyskiem geniuszów. Ale polityka tłumów pod tym względem przypomina owego chłopa-sknerę, który posiadał kurę o złotych jajach. Czas już jednak, aby ta gra w ślepą babkę, odbywająca się w imię źle zorganizowanego idealizmu, ustała. Czas już, aby wytłomaczyć temu chamowi łapczywemu, że jeżeli dla szybszego wydobycia jaj zabije samą kurę, to mocno w swych rachubach się omyli. Obecna kultura wolno-konkurencyjna jest najlepszym sposobem wyssania z geniusza wszystkiego, co można, żeby go rzucić następnie na śmietnik odpadków — ale społeczeństwo samo niechybnie dąży w ten sposób do ruiny umysłowej. Synteza, którą każdy geniusz z osobna robi, musi być czasowa, zastosowana do potrzeb chwili, i dlatego społeczeństwa powinny dbać nietylko o płody umysłowe swych geniuszów, ale także o same ich szczepy. Jest to najważniejsza część bogactwa narodowego. Otóż te szczepy są obecnie systematycznie staczane robactwem nędzy, zużycia, nadmiaru nieopłacanej pracy. Nie dość tego, społeczeństwa nietylko wyniszczają swych geniuszów, ale wymagają jeszcze, aby umierali po cichu, nie skarżąc się: to wyrafinowanie wyzysku nazywa się godnością, idealizmem i t. d. I w końcu, dla ukoronowania tej komedyi, stawiają biedakom tym po śmierci pomniki, wydają na wieńce i kwiaty dla ich grobów więcej, niż trzeba by było dla zapewnienia im życia, nie szczędzą im w nekrologu uwielbień, gdy dawniej pozwalały konać z braku słowa zachęty. Kiedy już ta bolesna komedya, gdzie wszyscy wzajemnie się oszukują, znajdzie koniec? Tylko wówczas, gdy dobrze zrozumiany interes społeczny pokaże całą jej bezmyślność i szkodliwość.

W r. 1874 Lanier napisał poemat p. t. „Chleb" (*Corn*), który świeżością i głębią natchnienia zdobył mu serca czytelników, zwłaszcza iż był dla wszystkich zrozumiały. Zawarte tu są wszystkie czynniki poezyi Laniera: miłość namiętna przyrody, uosobienie wszystkich jej objawów, liści, obłoków, wiatrów, doskonała harmonia wyrafinowanego języka i wreszcie głęboka sympatya dla ludzi i ich cierpień.

W r. 1876 poruczono poecie napisanie kantaty na setną rocznicę założenia Stanów Zjednoczonych. Starał się napisać „coś tak prostego i pogodnego, jak melodya Beethovena," łącząc zarazem muzykę i poezyę węzłem najściślejszym. Symboliści pod tym względem śmiało uważać go mogą za jednego ze swych poprzedników. Lanier był jednym z pierwszych twórców tej sztuki rytmów i sylab, która ma uczynić już samą poezyę muzyką. Spotkał go śmiech nieprzygotowanej i brutalnej publiczności krytyki. Cierpiał z tego wiele, ale nieurażony pracował w tymże kierunku. W r. 1877 wyszedł poraz pierwszy zbiór wszystkich jego poezyj i uniwersytet Johna Hopkinsa zaprosił go do przeczytania szeregu prelekcyj literaturze angielskiej.

Z tych odczytów powstała słynna książka „The science of english verse." Lanier ustanawia tu prawa naukowe prozodyi angielskiej, opierając się głównie na muzyce. Zamiast dotychczasowych znaków konwencyonalnych (sylab długich i krótkich), na których prozodya się opierała, wprowadza do niej tony muzyczne. „Wiersz — powiada Lanier — zależy od zdolności ucha do pochwycenia pewnych odcieni i od powrotu prawidłowego pewnych dźwięków. Ich odcienie nazywają się diapazonem, jakość ich — timbrem, a długość — rytmem. Pokrewieństwo głębokie, istniejące między sztukami, sprawia, iż najlepszym środkiem dla objaśnienia wiersza jest sprowadzenie go do nut muzycznych." Reforma Laniera ma dla poezyi angielskiej, według niektórych znawców, wartość zasadniczą. W r. 1880 obrał za przedmiot dla swych prelekcyj romans angielski. Wyszły one następnie w książce zatytułowanej „The English novel." Autor rozszerzył nadzwyczaj swój temat, śledząc za rozwojem osobowości ludzkiej, pokazując jej postępy, począwszy od dramatu starożytnego, w którym można już odnaleźć zarodki tego, co nazywamy romansem, aż do naszych dni, gdy rozrost osobowości, różnice istniejące między ludźmi, nie mogą już być zawarte w formach starożytnych i musiały się wyrazić w rodzaju literackim nowym. Autor ilustruje swą myśl rozbiorem dzieł najwybitniejszych pisarzów, począwszy od Eschylosa aż do Shakespeare'a, Richardsona, Fieldinga, Dickensa i G. Elliot. Krytyka jego jest często stronniczą, np. gdy powiada o Swinburnie, iż zaprasza na ucztę, gdzie statki są ze złota i srebra, ale w nich znaleźć można tylko pieprz, lub gdy, przyznając całą żywotność Walta Whitmana, który zawsze go oświecał jak „piana słonawa fali morskiej," zarzuca mu dandyzm jego koszuli otwartej i ramion muskularnych kolosu. „Whitman — powiada krytyk — jest rzeźnikiem poezyi, daje nam wielkie kawały mięsa, zawierające chrząstki, aby karmić nasze dusze. O ile mogą sobie zdać sprawę, argument Whitmana jest następujący: ponieważ prerya jest rozległą, rozpusta jest rzeczą doskonałą, a ponieważ Missisipi jest długa, zatem każdy amerykanin jest Bogiem."

Prelekcyj jednak swych nie mógł już dokończyć, będąc zupełnie zrujnowany przez suchoty. Przed śmiercią napisał jeszcze poemat, uważany za jego arcydzieło, p. t. „Sunrise" — jest to wspaniały hymn do rozległych stepów Ameryki.

Umarł we wrześniu r. 1881.

Ten panteista, którego nazywają zwykle amerykańskim Keatsem, był jednocześnie człowiekiem religijnym i chrześcianinem: „Niechaj rzeźbiarz — pisał — wydobędzie z bryły marmuru najwspanialszą kombinacyę kształtów, która może przedstawić kobietę, lecz jeżeli najmniejszy szczegół tego piękna fizycznego wywołuje brzydotę moralną — o ile ta brzydota, naturalnie, nie dąży sama do jakiegoś celu moralnego — artysta może śmiało skruszyć swe dzieło i oddać je dla brukowania ulic, gdyż czas, którego wyroki są nieubłaganie moralne, nie przyjmie go."

Dr. L. Winiarski.

POEZYE

Hymn do nogi.

Życie jest wielką orgią, a miłość jest pełnią —
Szafarko biesiad ludzkich, patronko uczt, kobieto,

Kapłanko najbrudniejszej ze wszystkich ziemskich sztuk!
Ty, co z pożarów ducha i z krwawych żądz pielisk,
Wystrzelasz nieśmiertelna i dumna, jak obelisk,
Jak szatan, ofiar głodna, tyś mi śmiertelny wróg!

Nęci mnie twoich źrenic przepaść zielono-modra,
I ust purpura ciemna, i utoczone biodra,
I krągłość białych piersi i brwi czarniawych łuk,
Nęcą mnie twoich drobnych ząbków białe cięciwy,
Z za których miotasz strzałę — słów twoich dźwięk pieściwy —
Kobieto, tyś jest kat mój, tyś mój śmiertelny wróg!

Sam nie wiem, co mi niesiesz: czy rozkosz, czy ohydę,
Sam nie wiem, po co idę — ale za tobą idę,
Idę z pożarem w piersiach, z bólem skrwawionych nóg,
Nie wiem nawet kim jesteś ty, co mi życie pętasz —
Wiem tylko, że po tobie będą grozy i cmentarz —
Wiem tylko, żeś ty kat mój, żeś mi śmiertelny wróg!

Bo czem ty jesteś? Pustką, nicością, wizyą, marą,
To ja wynoszę ciebie nad rzeczywistość szarą —
To ja twą chwałę głoszę, jak fanfar brzęk i huk!
Kwiecie trujący, wzrosły w męczarni mych ogrodzie,
Zabijający tchem swym mej własnej duszy płodzie —
Kobieto, tyś jest kat mój! tyś mój śmiertelny wróg!

Śród żądzy i pieszczoty, śród szału i oddania,
Gdy niemoc więzi członki, a rzęsy mgła przesłania,
Gdzie wtenczas myśl twa buja? na skraju jakich dróg?
Może, gdy w usta moje wpija się twoja warga,
Niepochwytny a wielki wstręt całą tobą targa,
Możeś mi wtenczas nawet kat i śmiertelny wróg!

I nigdy, nigdy, nigdy, choć schnąć i konać będę,
Głębiny twojej duszy tajemnej nie posiędę —
Jest między nami śliski, nieprzestąpiony próg.—
I tylko na twój obraz, na blask twej aureoli
Spalam samego siebie doszczętnie i powoli —
I, że przez ciebie ginę—tyś jest mój kat i wróg!

Jedna jest tutaj rozkosz nad ludzkich nędz żałobą,
Jedyna jest otucha: żyć *sobą* i być *sobą!*
Otom się dzisiaj drżący przed stopy twoje zwlókł!
Szatanie, co przychodzisz w pożądań zawierusze,
Upiorze, co wysysasz mi krew i mózg i duszę —
Ty, co mi łamiesz wolę—tyś jest mój kat i wróg!

Nie wierz w miłość, co wznosi, co hartuje, co czyści,
Bo miłość sama w sobie jest piekłem nienawiści—
I, czyś mi służebnica, czy dumy pełen bóg,
Czyś zdyszana hetera, czyś biała, jak westalka,
Od pierwszych dni stworzenia wre między nami walka,
Bój płci—śmiertelnie dziki!—a tyś mi kat i wróg!

Władysław Sterling.

Zakopane.

SPRAWY EKONOMICZNE

WYSTAWY NA PROWINCYI.

Od kilku lat spostrzegamy pewne zjawiska pocieszające. Prowincya zaczyna się ruszać i rozglądać dokoła. Przedewszystkiem usiłuje robić rachunek ze swojej pracy ekonomiczno-społecznej; mierzy siły własne i próbuje swojej działalności wytknąć wyraźniejszą drogę, po której mogłaby iść świadomie. Jednym z objawów takiego ruchu jest dążność do stowarzyszania się, zakładania spółek rolniczych, drugim — urządzanie wystaw. W chwili obecnej zdobyły się na nie aż trzy miasta: Łomża, Radom i Kielce. W pierwszej urządzono wystawę czasową sztuk pięknych i zabytków dawnych, na której zebrano 548 okazów. Między innemi były tam studya Matejki, szkice Grottgera, obrazy: Kossaka, Brodowskiego, Pilattiego, Żmurki i wielu innych. Z zabytków: buława hetmańska po Stefanie Czarneckim, szpilka z portretem Kościuszki na słoniowej kości, różne dokumenty z podpisami królów polskich, książki stare, sztychy, chromolitografie, świeczniki, statuetki, figury, filiżanki, talerze, kieliszki, zegary—antyki, tabakierki, przedmioty mozaikowe, wazony, szable, noże, puhary, medale, monety polskie i wiele innych. Wogóle wystawa chaotyczna, obejmująca przedmioty najróżniejsze, jak gdyby przypadkowo zgarnięte z różnych kryjówek do jednego worka i rozsypane na stołach. Jest to popis ludzi zamożnych, którzy radzi byli pochwalić się tem, co mają. Ale bądź co bądź — popis ten pod wielu względami ciekawy i pożyteczny.

Innego charakteru były wystawy w Radomiu i Kielcach. W pierwszym — to zwykły jarmark koński, sam przez się nie stanowiący faktu doniosłego w życiu bieżącem. Natomiast w Kielcach urządzono wystawę rolniczo - przemysłową na szerszą skalę. Taki przegląd dorobku ekonomicznego odbywa się dotychczas u nas w miastach prowincyonalnych raz na lat kilkanaście. W ogrodzie spacerowym wzniesiono 66 pawilonów i budynków wystawowych, w których rozmieszczono działy: koni, bydła, owiec, nierogacizny, drobiu, gospodarstwa rybnego, psów, sportu końskiego, zboża, ogrodnictwa, leśnictwa, przemysłu fabrycznego, drobnego, włościańskiego, pracy kobiet itd. Wystawa ta po raz pierwszy wykazała, że w gubernii Kieleckiej hodowla koni i bydła jest wysoce rozwinięta. Między innymi wzięło udział 25 hodowców bydła (134 okazy) i 32 hodowców koni (134 okazy). Wystawa obudziła wielkie zainteresowanie i ściągnęła gości z dalekich okolic kilku gubernij. Przybyli tam tłumnie: szlachta, włościanie, rzemieślnicy, robotnicy, służba wiejska i wreszcie duchowieństwo. Proboszcz z Nasiechowic (pow. Miechowski) przywiózł 15 gospodarzy. Wogóle jednak dużo daloby się zarzucić organizacyi wystawy. Przedewszystkiem urządzono ją jakoś gorączkowo, pospiesznie. Skutkiem tego wyszła pewna nierównomierność w działach. Zarzucają, że ten cały popis miał charakter wielkopański, że wystawiono okazy zbytkowe, które, zdaniem naszem, nie mogą dać dokładnego obrazu hodowli lub gospodarki rolnej w całej gubernii, lecz tylko świadczą, że istnieje tam parę dziesiątków zamożnych właścicieli ziemskich, którzy, dzięki zasobności, łatwo mogą swoje stajnie i obory podnieść wysoko. Nie możemy więc na podstawie tej garstki wysnuwać wniosków o stanie ogólnej hodowli, jak nie można byłoby na zasadzie okazów cieplarnianych i inspektowych jednego lub kilku ogrodników sądzić o stanie ogrodnictwa na pewnem terytoryum kraju. Lud, jakkolwiek zainteresował się tą wystawą, nie wziął jednak udziału w dostatecznej mierze, jako eksponent. Liczni goście, którzy przybyli do Kielc, skarżą się na to, że nie przewidziano ich napływu, skutkiem tego miasto nie przygotowało się należycie, nie dało ani pomieszczeń odpowiednich, ani pożywienia. Oczywiście wszystkie te błędy i niedokładności spadają na komitet wystawowy. Można mu jednak do pewnego stopnia wybaczyć je, ze względu na dobre chęci i brak doświadczenia. Więcej tu trzeba brać pod ocenę pierwsze wystąpienie na szerszą skalę miasta prowincyonalnego. Po drodze już utorowanej, z zasobem pewnych wskazówek i doświadczenia, łatwiej pójdą inni. Wystawa kielecka, miejmy nadzieję, będzie początkiem dorocznych wystaw gubernialnych, urządzanych kolejno w pewnym porządku. Taki rachunek ogólny w określonych odstępach czasu będzie mógł stale dawać obraz stanu ekonomicznego w całym kraju, wykazywać braki i błędy pracy wytwórczej i wymiennej, a zarazem udzielać wskazówek, co robić należy, ażeby ta praca mogła się toczyć po drogach wyraźnie i świadomie wytkniętych. Trzeba tylko, ażeby w organizacyi brały udział wszystkie dzielniejsze i energiczniejsze jednostki danego terytoryum.

Wystawy prowincyonalne powinny także przyciągnąć najszersze masy wytwórców na roli i dać im możność do podniesienia intenzywności pracy oraz kultury. Dotychczas wszelkie wystawy i jarmarki prowincyonalne przekonały nas, że istnieje wysoce rozwinięta hodowla koni wyścigowych i cugowych, ale natomiast zupełnie jest zaniedbany chów koni roboczych. Nie zdolano dotąd wytworzyć rasy odpowiedniej i przystosowanej do warunków miejscowych. To samo można powiedzieć o hodowli bydła. Istnieje zaledwie kilka obór wzorowych w kraju, które jednak wcale nie oddziaływają na hodowlę ogólną. Ażeby ją rozwinąć racyonalnie i skutecznie, należałoby stworzyć odrębną instytucyę. Wystawy gubernialne zawsze dawać będą w tej mierze niezbędny materyał i wskazówki. Trzeba jednak, ażeby te wystawy zdobyły się na organ sterniczy. Niezależnie od komitetów miejscowych, powinien istnieć komitet stały, np. w warszawskiej sekcyi rolnej Towarzystwa przemysłu i handlu. Ster taki trzymaliby ludzie światli i doświadczeni ze wszystkich okolic kraju. Tym sposobem każda wystawa gubernialna byłaby zorganizowana zawczasu, z uwzględnieniem wszystkich działów życia ekonomicznego w kraju. *P.*

W DALI.

Łódź. Zatwierdzona w tych dniach giełda łódzka posiada pewne właściwości odrębne. Pozostaje w zawiadywaniu departamentu przemysłu i handlu ministeryum skarbu. Uczęszczać na giełdę ma prawo każdy, bez różnicy stanu i poddaństwa. Towarzystwo giełdowe łódzkie stanowią kupcy gildyjni Łodzi i „miast okolicznych,“ tudzież stowarzyszenia akcyjne i spółki udziałowe. Towarzystwo odbywa zgromadzenia ogólne i cząstkowe. Ma ono prawo „czynić u władz starania o rozstrzyganie spraw, dotyczących handlu i jego potrzeb.“ Przedstawicielem towarzystwa jest komitet giełdowy, wybierany przez zgromadzenie, w liczbie 9 osób, tj. prezesa i 8 starszych giełdy; do komitetu należy też makler starszy. Wszystkie czynności kancelaryjne, rachunkowości i sprawozdania komitetu giełdowego, oraz stosunki jego z władzami i osobami rządowemi prowadzone są w języku rosyjskim; w tymże języku komitet obowiązany jest odpowiadać na zapytania piśmienne i ustne towarzystw i osób prywatnych, wystosowane w języku rosyjskim; w druku sprawozdań giełdy dopuszcza się współrzędnie z tekstem rosyjskim (*en regard*) tłomaczenie polskie. Członkowie komitetu wybierani są na trzy lata. Liczba ich z niechrześcian nie może przewyższać $_3/^1$ ogółu członków komitetu, prezes zaś i starszy makler mają być wybierani z pośród chrześcian. Poddani obcy są wyłączeni od udziału w komitecie. Komitet giełdowy może być rozjemcą w sporach handlowo-przemysłowych, o ile interesowani odwołają się do jego pośrednictwa. Władzą bezpośrednią nad komitetem jest gubernator. W razach wyjątkowo pilnych komitet ma prawo zwracać się wprost do właściwych ministeryów i tylko kopie swoich odezw

przesyłać gubernatorowi. Skargi na komitet należy składać departamentowi przemysłu i handlu za pośrednictwem komitetu, który przesyła je z własnem wyjaśnieniem. Dochody giełdy łódzkiej stanowią: wnioski członków i sumy jednorazowe, opłaty ustanawiane na potrzeby handlu giełdowego łódzkiego, na udzielanie informacyi, opłaty za pośrednictwo w sporach, kary za nieregularne uczęszczanie za giełdę i in., odsetki od kapitałów i dochody z nieruchomości własnych. Liczba maklerów na początek nie może przewyższać 20, w tem niechrześcian najwyżej $^1/_3$.

Radom. Ogłoszono ustawę Towarzystwa kredytowego miejskiego w Radomiu, zatwierdzoną przez p. ministra skarbu d. 29 lutego r. b. Obowiązki założycieli Towarzystwa powierzone będą z postanowienia gubernatora, osobom wybranym przez właścicieli domów z pośród swojego grona. Na koszty pierwszego urządzenia, dla zapewnienia terminowej amortyzacyi listów itd., Towarzystwo ma prawo zaciągnąć pożyczkę do wysokości 20,000 rb. Uważa się ono za zawiązane z chwilą przystąpienia 20 właścicieli, których domy ubezpieczone są na sumę 120,000 rb. Pożyczki udzielane będą tylko na domy murowane, z czasem atoli Towarzystwo może wyjednać kredyt i na nieruchomości drewniane, ogrody, place. Pożyczki od 500 rb. są 35 letnie. Listy zastawne są 100, 250, 500 i 1,000 rublowe, 5 procentowe. Sprawami Towarzystwa kierują: zarząd, rada nadzorcza i zgromadzenie ogólne. Uwaga do art. 54 głosi: „Czynności kancelaryjne, rachunkowość i sprawozdania Towarzystwa powinny być prowadzone wyłącznie w języku rosyjskim.

Kielce. Zatwierdzono ustawę Towarzystwa rolniczego w Kielcach. Celem jego jest: przyczyniać się połączonemi siłami członków do rozwoju i udoskonalenia rolnictwa i przemysłu wiejskiego w gub. Kieleckiej. Dla osiągnięcia tego celu Towarzystwo ma: 1) badać stan różnych gałęzi gospodarstwa wiejskiego, wyjaśniać braki i potrzeby rolników za pomocą wspólnego rozważania odpowiednich spraw na zebraniach członków, oraz na pogadankach rolniczych; 2) urządzać delegacye i wycieczki, dla obejrzenia gospodarstw członków i wogóle dla wszelakiego rodzaju badań rolniczych; 3) rozpowszechniać wiadomości teoretyczne i praktyczne z zakresu rolnictwa za pomocą drukowania i rozsyłania prac, oraz dzieł rolniczych, tudzież założenia biblioteki rolniczej i muzeum; 4) starać się o wskazanie najbardziej prawidłowego sposobu prowadzenia gospodarstw przez badanie metod kultury w innych okolicach, w państwie rosyjskiem i za granicą, ażeby upowszechnić takie, które okażą się pożytecznemi dla rolników miejscowych; 5) urządzać konkursy machin i narzędzi rolniczych oraz uprzęży, dalej zakładać stacye i pola doświadczalne, fermy, ogrody i szkółki leśne, popierać działalność tego rodzaju zakładów, istniejących, również tych które powstaną w gub. Kieleckiej; 6) dopomagać rolnikom pożytecznemi wskazówkami i rekomendacyami do prawidłowego prowadzenia przedsięwzięć rolniczych i podejmować się pośrednictwa co do sprzedaży produkcyi ich gospodarstw; otworzyć w tym celu biuro informacyjno-komisowe i składy; 7) urządzać wystawy, licytacye i zachęcać do pracy, wynagradzając zasługi na polu rolniczem przez nadawanie medalów i innych nagród honorowych. Członkami Towarzystwa mogą być tylko poddani rosyjscy; składają się oni z członków honorowych, rzeczywistych i członków korespondentów. Rzeczywiści są wybierani wyłącznie z pośród mieszkańców gub. Kieleckiej, płacą jednorazowo 5 rb. wpisowego i następnie corocznie po 10 rb. Sprawami Towarzystwa zarządza rada mająca siedzibę w Kielcach, gdzie również odbywać się mają wszystkie zebrania Towarzystwa.

Kostroma. Polaków w Kostromie, licząc w to i żołnierzy, mieszka około 80, a z nich wybitniejsze stanowiska zajmują pp.: Bronisław Kukiel, zarządzający dochodami akcyzowymi w gubernii Kostromskiej i Jarosławskiej, Stanisław Rudzki, dyrektor filii kostromskiej banku handlowego, lekarz dr. Bohomolec, wreszcie p. Kal, sekretarz biura akcyzy. Po za tem kilku Polaków zajmuje niższe posady administracyjne, zwłaszcza w zarządzie leśnictwa, a reszta żołnierze. Poczta kostromska odbiera kilkanaście egzemplarzy tygodników i gazet polskich.

Kijów. Zarząd kolei Południowo-Zachodnich na skutek starań obywatelki, p M. W. Czaplińskiej, pozwolił wznieść na stacyach kolei witryny dla wystawienia w nich produktów gospodarstwa wiejskiego ziemian okolicznych. Celem tego ma być zaznajamianie bezpośrednie szerokiego koła nabywców z produktami i ich jakością, oraz miejscem gdzie się znajdują, co dotychczas było tajemnicą miejscowych faktorów i agentów. Naczelnicy stacyi zgodzili się pośredniczyć w informowaniu nabywców o wystawianych okazach. Agentury takie, zdaniem *Kijewlanina*, przyniosą bezwarunkowo pożytek, gdyż usuną pośrednictwo nadużywających zaufania faktorów w handlu produktami spożywczymi. Witryny takie ustawione będą tymczasowo na następujących stacyach: Zwinogródek, Humań, Szpoła, Potasz; na innych zaś urządzane będą w miarę podań obywateli wiejskich do naczelników stacyj i za zgodą zarządu kolei.

Petersburg. Prasa rosyjska nieraz poruszała sprawę zniżenia taryfy pocztowej przy przesyłaniu książek i druków. Obecnie gazeta *Graf. iskustwa* i *bum. prom.* pisze w tej kwestyi: „Niepodobna zaprzeczyć, że obecnie dla narodów oświeconych, dążących do wzmocnienia swojej potęgi politycznej, zapomocą dbania o gospodarstwo narodowe, taryfa pocztowa jest jednym z głównych pośredników, gwoli osiągnięciu celu, i dla tego twierdzimy, że gdyby komunikacye pocztowe znajdowały się w rękach prywatnego towarzystwa akcyjnego, to rząd nasz obowiązany byłby ustanowić oddzielną pocztę z umiarkowaną taryfą, ażeby przyśpieszyć wzrost interesów ekonomicznych państwa. Przypuśćmy nawet, że zniżka taryfy przyniosłaby jaką stratę; wynagrodziłby ją było można jednak wkrótce szybkim wzrostem stosunków. podobnie jak po zniżeniu taryfy dla telegramów i przejazdów koleją żelazną."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Na ostatniem zebraniu ogólnem Towarzystwa wzajemnej pomocy pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy postanowiono nabyć nieruchomość przy ul. Siennej na pomieszczenie biura i schronienia dla handlowców niezdolnych do pracy.

— Ministeryum oświaty opracowywa projekt kasy emerytalnej dla nauczycieli i nauczycielek szkół ludowych.

— W niedzielę ubiegłą odsłonięto pomnik Józefa Korzeniowskiego w Brodach, jego mieście rodzinnem.

— Obławy nocne, dokonywane w okolicach podmiejskich, kończą się wysyłaniem ujętych włóczęgów do miejsca stałego pobytu. Otóż, jak stwierdzono, wielu włóczęgów, po znalezieniu się w punktach zameldowania, w kilka dni znowu powraca do gmin podmiejskich. Tem się tłomaczy jednostajność statystyki, wykazującej liczbę wysiedlonych. (*Kur. Warsz.*).

— Korespondent *Mosk. Wied.* z gub. Kowieńskiej skarży się na księży tamtejszych, że przewrotnie tłomaczą rozkaz Najwyższy o modlitwie przedszkolnej, odmawiając ją z uczniami w języku żmudzkim, a niektórzy wykładają naukę religii w tymże języku i zmuszają uczniów do odpowiadania po żmudzku. Korespondent donosi, że księży, uporczywie trzymających się języka żmudzkiego, usunięto od obowiązków nauczycielskich.

— Fundusz ogólny, przeznaczony dla kuratory ów trzeźwości w Królestwie Polskiem, na wniosek generał-gubernatora warszawskiego, rozdzielono pomiędzy gubernie w ten sposób, że na każdy 1,000 ludności wypada 17 rb., czyli 60 kop. mniej, niż przy takimże podziale, dokonywanym według normy, przyjętej w Cesarstwie. Z funduszu ogólnego udzielonego na r. b., zachowano pewną sumę (4,000 rb.) do przypuszczalnego wzmocnienia środków kuratoryów trzeźwości w danych miejscowościach, gdzie w ciągu ich działalności okaże się potrzeba.

Czytelnie ludowe. *Warsz. Dziennik* donosi, że z rozporządzenia głównego Naczelnika kraju, kancelaryę warszawskiego generał-gubernatora zobowiązano do periodycznego wydawania katalogu książek dla bezpłatnych ludowych czytelni rosyjsko-polskich. Katalog ten, obowiązujący dla wszystkich tego rodzaju czytelni w kraju (z wyjątkiem miejscowości, zamieszkiwanych przez b. unitów), zamieszcza odpowiednią ilość rosyjskich i polskich utworów, przytem dział polski stanowią utwory, które uzyskały uprzednio zdanie rady przy kuratorze warszawskiego okręgu naukowego, upoważnionej do rozpatrywania i oceny wydawnictw polskich dla czytelni ludowych, przez ministeryum oświaty w porozumieniu z ministeryum spraw wewnętrznych, zgodnie z wnioskiem J. O. generał-gubernatora warszawskiego. Pierwsza lista tego normalnego katalogu podana będzie wkrótce do wiadomości ogólnej, poczem niezwłocznie nastąpi sporządzenie drugiej. Dlatego też autorowie, wydawcy i właściciele prac, przeznaczonych dla odczytów ludowych wogóle popularnych dziełek po polsku, pragnący uzyskać odpowiednie zezwolenie na włączenie tych wydawnictw do drugiej lub następnych list katalogu normalnego, a tem samem na prawo rozpowszechnienia ich w czytelniach ludowych, powinni zwracać się do rady przy kuratorze warszawskiego okręgu naukowego i tam wydawnictwa te złożyć w trzech egzemplarzach, przepisanych wyraźnym charakterem pisma lub drukowanych po uprzedniem ocenzurowaniu.

Szkoły. D. 15 b. m. uroczyście otwarto w Warszawie instytut politechniczny imienia Cesarza Mikołaja II przy ul. Marszałkowskiej. W uroczystości tej wzięli udział przedstawiciele władz tutejszych z Generał - Gubernatorem warszawskim na czele, dyrektor departamentu przemysłu i handlu Kowalewskij, tudzież liczne osoby z różnych sfer tutejszych. Z odczytanego sprawozdania dowiadujemy się, że z uniwersytetów i innych zakładów naukowych wyższych przyjęto do politechniki 82 studentów, ze szkół realnych 84, z wyższej szkoły rzemieślniczej łódzkiej 12, z korpusów kadetów 3, ogółem 267. Z zakładów naukowych okręgu warszawskiego przyjęto 174, czyli 65,2% liczby ogólnej. Według wyznań politechnika liczy słuchaczów: prawosławnych 27, czyli 10,1%, ewangelików 12, czyli 4,5%, ormiano gregoryan 1, czyli 0,4%, żydów 40, czyli 15%, katolików 187, czyli 70%. Ceremonii poświęcenia dopełnił duchowny prawosławny.

— W Łodzi dyrektor departamentu przemysłu i handlu, Kowalewskij, otworzył nową szkołę handlową. W mowie wygłoszonej zaznaczył potrzebę otwarcia w Łodzi jeszcze szkół specyalnych, kształcących pomocników handlowych i przemysłowych.

Koleje i komunikacye. Kolej Syberyjską doprowadzono już do Irkucka i w tych dniach otwarto aż do tego miasta komunikacyę osobową i towarową.

— Na wiosnę rozpoczną się roboty około urządzenia komunikacyi telefonowej między Petersburgiem i Warszawą, Warszawą i Moskwą, Moskwą i Niższym Nowogrodem.

Wystawy i zjazdy. Powodzenie wystawy kieleckiej zachęciło ziemian do urządzenia innych. Zaprojektowano na przyszły rok aż dwie: w Radomiu i Łomży.

— Pod przewodnictwem p. Kowalewskiego, dyrektora departamentu handlu i przemysłu, odbyło się w Warszawie posiedzenie w sprawie wystawy paryskiej. Jako cele p. dyrektor uznał za najważniejsze: przedstawienie produktów, które mogłyby pozyskać zbyt na rynkach wszechświatowych. Towarzyszący p. dyrektorowi komisarz generalny wystawy, ks. Teniszew, zwrócił uwagę, że przedmioty, nieodznaczające się niczem szczególnem, zajmowałyby tylko niepotrzebnie miejsce. Dla udogodnienia wystawcom oddzielnych prowincyj i uniknięcia zwracania się w każdej sprawie do komitetu centralnego, p. Kowalewskij zaproponował utworzenie dla Królestwa Polskiego komitetu miejscowego przy giełdzie warszawskiej. Ze względu że przemysł tkacki ogniskuje się w Łodzi, zaprojektował utworzenie tam komitetu specyalnego do tej gałęzi przemysłu, bez szczególnych wszakże rozgraniczeń. Wspomniał przytem, że przemysł górniczy ma swoją oddzielną organizacyę w tej sprawie. W ten sposób uniknie się znacznej części kosztów przedstawicielstwa.

Przemysł i handel. Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawę Towarzystwa muzeum handlowo-przemysłowego wraz z wystawą stałą w Kijowie.

— Introligatorowie warszawscy wystąpili z prośbą o podwyższenie opłaty od sprowadzanych z zagranicy książek oprawnych, oraz od innych gotowych wyrobów introligatorskich i o zmniejszenie cła od materyałów, używanych w rzemiośle introligatorskiem. Magistrat tutejszy zwrócił się do Towarzystwa pop. przemysłu i handlu o zdanie i inicyatywę.

— Fabrykanci cygar w Rosyi, jak donoszą gazety petersburskie, czynią starania o podniesienie cła od cygar zagranicznych, gdyż skutkiem dowozu wyrobów zamiejscowych, produkcya w Rosyi stale się zmniejsza.

Katastrofa kolejowa. D. 15 b. m. na stacyi kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, w Nieborowie, pociąg wojskowy wpadł na osobowo-towarowy. Konduktorowie i nadkonduktorowie pokaleczeni, 10 wagonów towarowych zdruzgotanych.

Zmarli. Wacław Kranze, w Warszawie, nauczyciel szkół Pankiewicza, Kubna, Wawelberga i Rotwanda. Prace specyalne z dziedziny matematyki ogłaszał w „Sprawozdaniach Akademii umiejętności" oraz w „Rocznikach matematyczno-fizycznych." Liczył lat 36.

Odpowiedzi Redakcyi.

Si—Do—Re. W nadesłanych wierszach jest bardzo wiele ładnych szczegółów i poetyckich wzlotów, ale też wiele sztucznych wstawek i niejasności. Niektóre po usunięciu tych ostatnich moglibyśmy drukować.

B. T. w Łodzi. Wkrótce wyjdzie II część „Poradnika dla samouków," który da wyczerpujące pod tym względem wskazówki.

K. Z. R. Spekulanci są w każdej literaturze, więc i w naszej; posługują się osobnikami lichymi wszędzie, więc i u nas. Niema w tym fakcie nic wyjątkowego. Zresztą zdaje się, że dość zrobiono dla napiętnowania go.

Panu Tad. Skar. Prosimy o przybycie do redakcyi w godzinach południowych.

P. Henr. J. w Krakowie. Tego rodzaju obrazki punktowane nie nadają się do naszego pisma.

Zoryanowi. Nie dla *Prawdy*.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym ark. 6—11 dzieła p. t. Syberya i ciężkie roboty.

Dzieło dr. J. Dallemagne'a

Człowiek zwyrodniały,

które dołączaliśmy zeszytami w dodatkach Prawdy, wyszło w osobnej książce. Cena ogromnego tomu (742 str.) wynosi tylko dwa ruble bez przesyłki.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 11 Сентября 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.